Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 11 sierpnia 1935 r. Nr. 32.



„Panta rei..."

Wszystko w świecie zmienia wciąż swoje oblicze
I nic tej zmienności w życiu nie powstrzyma...
„Jedynej" miłości gasną nawet znicze —
Pocóż żdziwionemi patrzysz w dal oczyma?

„Panta rei"... — i w sercu — i tak samo w duszy.
Najpiękniejsze Twe sny i marzenia złote
Prysły już — bo je czas przemijania skruszył. .
— — — — — — — — —
... Jakże trudno wczuć się w przemijań istotę!

Danuta Wyrybkowska.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

15)

Do salonu wszedł pułkownik, trzymając w ręku w ceratę oprawny zeszyt.

— Olgierd na kontroli? — przemówił, całując ją w rękę.

Brzmiało to raczej na twierdzenie, niż zapytanie.

Skinęła głową i wskazała mu krzesło.

Podał jej kajet.

— Odniosłem pamiętnik.

— Nie warto było samemu się trudzić, panie pułkowniku — zauważyła.

— Nie mogłem inaczej postąpić, musiałem przyjść, by wypowiedzieć pani swój żal i wyrzuty sumienia, które zaćmiły me szczęście od samego początku.

— Nie róbmy tragedji tam, gdzie tej tragedji nie było — przerwała mu trochę niecierpliwie.

— Przysłanie pani tego pamiętnika nie było u mnie wywołane chęcią zemsty, bo nie może być mowy o zemście, gdy nie było poczucia krzywdy u pana.

— Chciałam tylko, by pamiętnik ten posłużył panu za rachunek sumienia, za ostrzeżenie i przykład co trzeba w każdem dziecku rozwijać i w czem go umacniać, by mogło jako dorosły człowiek samo przed sobą nazwać się i uważać za uczciwego człowieka w całem znaczeniu tego słowa, bo nie jest uczciwym ten, przez kogo cierpią i płaczą, dlatego że, ufając jego słowom i przysięgom, oparli na nich swe nadzieje i plany życia.

Poczerwieniał, ale milczał, bo co mógł powiedzieć tej kobiecie, która podała mu przyjazną dłoń, gdy wszyscy o nim zapomnieli, lub nie chcieli pamiętać, która wierząc i ufając jego słowom, poświęciła mu więcej niż był wart, a on odpłacił jej egoizmem, niewdzięcznością i policzkiem moralnym.

Pani Gabrynia jakby pożałowała swych słów, bo dodała miękkim życzliwym tonem, popartym łagodnym uśmiechem:

— Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Pan ma młodą i śliczną żonę, ja prawego i zacnego męża, z którym rozumiemy i zgadzamy się w ważniejszych zagadnieniach życiowych i politycznych i z którym jestem bardzo szczęśliwa.

— Więc niech pan sobie nie robi wyrzutów, nie wyobraża, że zepsuł mi życie, bo nie wiadomo jakby nam się życie ułożyło, gdybyśmy się byli pobrali, czy nie pożałowalibyśmy oboje tego kroku i nie przeklinali naszego pojęcia o obowiązkowości i honorze. Zresztą nie trzeba nigdy żałować tego, co się stało. Anglicy mówią, że „nie trzeba płakać nad rozlanem mlekiem". Zupełnie słusznie.

— Czy pan wyrzekłby się swej żony — padło w ciszę pokoju pytanie z jej ust.

— Nie... — odparł krótko i dobitnie.

Rozłożył ręce bezradnie.

— Gdyby pani mogła wyrozumieć i odczuć, co się we mnie działo, gdy czytałem ten pamiętnik.

— Miesiące minęły, nim uspokoiłem się...

Popatrzyła przed siebie oczami, co dużo rzeczy widziały i dużo łez przelały.

— Ja również nie odesłałbym od swego męża za nic w świecie i nie zamieniłabym go na nikogo innego, nawet na pułkownika Daszkowskiego — dodała z uśmiechem.

— Więc co panu pomogło rozważanie na tematy bezpowrotne i nieaktualne?

— Słuszność mają Anglicy, że nie warto płakać nad rozlanem mlekiem...

A gdy na pożegnanie całował jej ręce blady i wzruszony, dodała:

— Lecz syn mój będzie musiał pamiętać, że każda obietnica czy przyrzeczenie ma mieć dla niego wagę uroczystej przysięgi, której dotrzymanie będzie jego najświętszym obowiązkiem honoru.

— Syn mój również — potwierdził pułkownik.

* * *

Po wyjściu pułkownika pani Gabrynia zawinęła się w szal, jakby jej nagle zrobiło się zimno i wtuliwszy się głębiej w fotel, otworzyła przyniesiony przez pułkownika zeszyt.

Dosyć gruby, oprawny w ceratę, zwykły kajet, używany jako bruljon do robienia notatek, a takie wzruszenie wywołał w duszy kobiety, gdy go brała do rąk.

Historja życia młodej dziewczyny pisana w chwilach wzruszeia, podniecenia lub smutku. Skarga duszy samotnej kobiety, jedyny wierny powiernik, który nie wyszydzi i nie obmówi.

Drżącą ręką przerzuciła kilka kartek, zatrzymała oczy na zapisanej stronicy, znów przełożyła parę kartek i zaczęła czytać:

— — — — — — — —

...Wojna rozgorzała nadobre. Biję się prawie pół Europy, a cierpią niewinni, a giną maluczcy jak barany sprzedane na rzeź, nie rozumiąc za co i po co i dlaczego?

Jedna znajoma Belgijka, która ma syna oficera w niewoli niemieckiej przyniosła mi list jego, gdzie donosił, że razem z nim siedzi oficer Polak Wacław Domański. Biedny kaleka bez ręki, odjęli mu ją w szpitalu, cierpi głód, bo Niemcy bardzo skąpe wydzielają im porcje, a z domu — żona, mieszkająca w głębi Rosji i mogąca ledwo koniec z końcem związać, nie może mu nic przysłać.

Prosił matkę, by poszukała w mieście jaką polską rodzinę, któraby zajęła się tym biedakiem i przyszła mu z pomocą.

Postanowiłam zaopiekować się nim sama.

— — — — — — — —

Posyłam mu suchary, mleko skondensowane, cukier, konserwy mięsne, papierosy, czekoladę.

— — — — — — — —

Otrzymałam dziś kartkę, pisaną z głębi Rosji. Kostroma — miasto oddalone o tysiące kilometrów od Territetu, gdzie obecnie spędzam wakacje z koleżanką.

Zwykła żółta pocztowa kartka, pisana drżącą, starczą ręką. Prośba o zaopiekowanie się jeńcem wojennym porucznikiem Janem Sznelińskim ,który podczas pierwszej bitwy Niemców z Moskalami raniony w rękę, dostał się jesienią 1914 roku do niemieckiej niewoli i znajduje się w obozie jeńców w Münden.

— Adres pani otrzymałam od p. Domańskiej, żony jeńca kapitana Wacława Domańskiego, któremu pani tak szlachetnie pospieszyła z pomocą materjalną.

Siostrzeniec mój, porucznik Jan Szneliński — kaleka, gdyż ma przestrzeloną rękę i nie włada nią, cierpi głód. Nie ma on matki, ojciec i brat gdzieś się zapodzieli i nikt nie wie, gdzie oni się znajdują, a ja, uciekinierka, narazie bezdomna, nie jestem w stanie zaopiekować się nim regularnie i wydatnie, może więc pani w swej szlachetności i dobroci weźmie go w swą opiekę, a dobry Bóg it.d...

Przewróciła znów parę kartek.

Pod datą 16-go września 1915 roku naklejony list, pisany męskim charakterem:

„Dziękuję Pani za paczkę, ale jeszcze więcej za dobre słowa, takie płynące z serca, kojące.

Uratowały mnie one od śmierci, bo byłem bliski samobójstwa. Rok za kratami w poniżającej monotonnej bezczynności i zabijającej nudzie, upakarzany na każdym kroku, zapomniany przez swoich dalszych i bliższych, odcięty od świata i wiadomości bliżej mnie obchodzących, odebrało mi to wiarę w możność życia, w wartość dalszego istnienia i dopiero tych słów kilka ciepłych, serdecznych, kobiecych przywołało mnie od wrót śmierci.

Nie wiem, co mi te pierwsze słowa pani przyniosą w dalszym ciągu, czy nową mękę, czy nowe zawody, ale błogosławię Panią za nie. Wrażenie szczęścia, jakie mnie ogarnęło po przeczytaniu listu, trwać będzie we mnie chyba do końca życia i błogosławię Panią za nie".

20-go października.

Znów list.

— „Nową radość, nowe szczęście przyniosły mi te kartki liljowe. Żyć będę teraz jedynie oczekiwaniem listów Pani. Że jeszcze istnieją na świecie takie serca kobiece! A ja myślałem, że wszystkie kobiety są jednakowe, wyrachowane, sprzedajne fałszywe...

17-go listopada.

...Wysłałam dziś paczkę do Domańskiego i Sznelińskiego. Muszę się przyznać przed sobą samą do pewnej słabości i stronniczości. Paczka Sznelińskiego jest obfitsza i zawiera większą ilość tłuszczów i czekolady, ale Domański ma kochającą żonę, która mu coś napewno dosyła. Szneliński zaś jest bez rodziny i opieki i taki samotny.

24-go grudnia.

Wigilja. Wysyłając paczki dla swoich biedaków, załączyłam po kawałku opłatka. Urządzamy sobie wspólną wilję polską składkową. Ludka, Anka, Wiśka, Kazik, Stasiek i Antek.

Uczta ma się odbyć u Ludki i Anki, bo mają pokój z niekrępującem wejściem. Poczciwa ich gospodyni gruba Frau Erb pozwoliła im ugotować sobie samym kolację.

Będzie barszczyk burakowy z uszkami, ryba smażona, osuszki z makiem. Bakalje dostarczą Kazik i Antek, Stasiek ma przynieść winą.

26-go grudnia.

Siedzę sama u siebie w pokoju. Gospodyni wyszła gdzieś do znajomych z całą rodziną. W mieszkaniu cisza i spokój.

Bardzo miło przeszła nam wigilja. Nastrój był wesoły. Po kolacji śpiewaliśmy kolendy. Mimo to myślałam ciągle o swoim samotniku z München. Tak mi go było żal, tak mu szczerze współczułam.

Poczciwe nasze chłopczyska wykosztowali się na prezenta dla nas. Kazik i Antek przynieśli nam po pudełku cukierków, a Stasiek dla mnie specjalnie śliczny sweterek biały, takąż czapkę, szalik i rękawiczki, bo chce bym jeździła z nim na nartach.

Namawia nas wszystkie, byśmy wybrały się z nim na tydzień do Saint-Mürren na narty.

Ludka i Anka palą się wprost do tej wycieczki, my z Wiśką namyślamy się, chodzi o koszta. Wojna dopiero teraz zaczęła się na dobre i koniec jeszcze daleki, a kapitały moje są na wyczerpaniu.

2-go stycznia 1916 roku.

Otrzymałam dziś drogą okrężną dwa tysiące rubli z domu. Szły trzy miesiące. Ucieszyłam się. Jadę do St. Mürren, niech będzie co chce.

Dziś z tej radości wysłałam do Sznelińskiego list na czterech stronicach i paczkę o podwójnej objętości.

16-go stycznia.

Tydzień spędzony w St. Mürren był cudowny i z żalem wracaływśmy do domu, pozostawiając tam Antka i Staszka.

W domu zastałam list od opiekuna. Pisze mi, że te dwa tysiące były ostatnią sumą wysłaną mi przez niego, bo kapitał mój jest już na wyczerpaniu, a to, co zostało, nie da się upłynnić.

Muszę starać się o poobiednie zajęcie, bo inaczej nie będę mogła bez troski czekać końca wojny i pomagać skutecznie swoim „chrześniakom".

Marzec 1916 roku.

Dostałam zajęcie w kinie jako kasjerka. Pracuję od godziny piętnastej do dwudziestej trzeciej. Płacą marnie, ale za to do życia nie dokładam, jedynie używam otrzymane pieniądze na paczki żywnościowe, które stale i regularnie dwa razy na tydzień wysyłam.

Domański przysyła kartkę raz na miesiąc, za to od Sznelińskiego przychodzą listy dwa razy na tydzień.

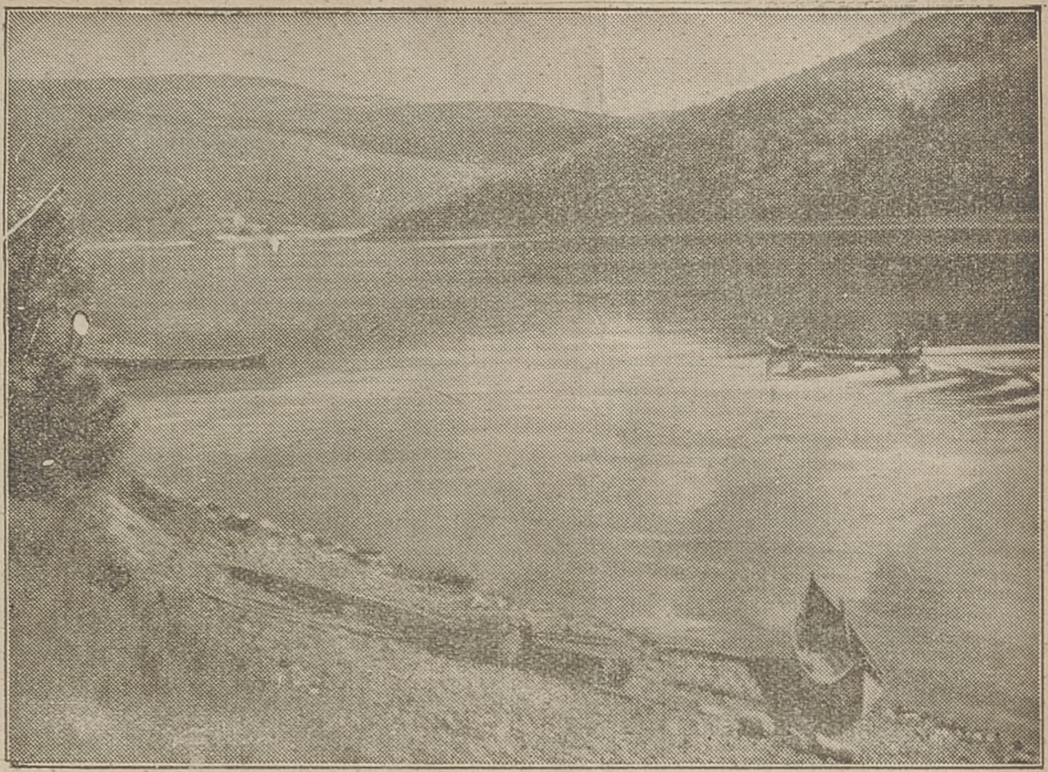
Smutne wynurzenia skrzywdzonego przez los człowieka, szamocącego się daremnie w swej klatce.

Przyzwyczaiłam się do tych listów i z niecierpliwością czekam środy i soboty. Odpisuję mu długie epistoły. Czasami pocieszam, czasami gderam jak kogoś bliskiego sobie.

Kwiecień 1916 roku.

Czuję się bardzo zmęczona i wyczerpana. Rano wykłady, popołudniu praca, w nocy kucie i robienie notatek. W niedzielę sypiam do drugiej, a mimo to wstaję z łóżka znużona i osłabiona.

Skończyły się dla mnie te niedzielne spacery ze Staszkiem, te wieczory muzykalne u Zuli. Jej matka ślicznie gra na harfie, Staszek na fortepianie, Kazik na skrzypcach. Co niedzielę wieczór koncert na Badenstrasse. Ach, jak mi go brak, jak mi brak tych wieczorów. Grają i teraz, tylko mnie tam już niema między niemi.



Charakterystyczny krajobraz z północnej Finlandji.

Lipiec.

Wykłady na uniwersytecie ukończone. Wakacje!

Cała moja paczka rozjeżdża się, ja jedna z powodu posady pozostaję w mieście. Staszek namawia mnie, bym rzuciła posadę i pojechała z nimi do Adelboden. Ma jechać Zula z matką, on, Kazik i Tuśka Radzewicz. Obiecuje, że po powrocie postara się dla mnie o jakie mniej męczące zajęcie. Nie chcę o tem słyszeć, bo gdybym nie znalazła innego zajęcia, uniemożliwiłoby mi to dokarmianie moich biedaków, a szczególnie Sznelińskiego.

30-go września.

Wykłady wznowione. Choć odpoczęłam przez lato, jednak mimo to ciężko mi trochę. Staszek gniewa się na mnie, że się zapracowuję, że zdrowie marnuję. Co może, to za mnie załatwia i odrabia. Aż mi to dziwnem się wydaje, że są tacy zacni chłopcy. Opiekuje się mną tak troskliwie jak brat. Opowiadałam mu, że wczoraj zostałam zaczepiona przez jakiegoś osobnika, gdy wracałam do domu o dwunastej. Od tego czasu przychodzi po mnie.

Styczeń 1917 roku.

Zaziębiłam się i byłam chora na grypę. Dwa tygodnie leżałam. Anka zastępowała mnie w kasie. Kazik robił dla mnie notatki, a Staszek zasypywał mnie kwiatami i cukrami. Stać go na to. Jego ojciec ma duży majątek w Królestwie i synowi przekazuje co miesiąc poważną sumę na utrzymanie.

Zgłosiło się do mnie kilku innych jeńców. Oddałam ich pod opiekę Staszka. Zgodził się posyłać im paczki bez skrzywienia się nawet. Śmieją się ze mnie, że urządzam komitet pomocy jeńcom i robię konkurencję komitetowi w Vevey.

Całe dwa tygodnie nie pisałam do Sznelińskiego. Paczki dla niego i Domańskiego wysłał w mojem imieniu Staszek.

Ciekawa jestem co sobie pomyśli Szneliński i jak zareaguje na to milczenie.

Luty....

Znów przyklejony list Sznelińskiego.

— „Pani moja, droższa nad wszystko w świecie. Całe dwa tygodnie byłem w rozpaczy i znów myślałem o samobójstwie. Zabijała mnie myśl, rozciągała na torturach, że pani ma już dosyć opieki nade mną, moich listów i mnie wogóle. Widok kolegów, odczytujących swoje listy, wywołał we mnie bestję, drzemiącą w każdym człowieku. Byłem nie raz i nie dwa mordercą i bluźniercą w duszy.

Otrzymane przed dwoma dniami pismo pani wprawiło mnie w szał radości... całowałem literę po literze i nacieszyć się nie mogłem"...

Znów parę stronic przejrzanych niedbale i pobieżnie z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

Ręka, przerzucająca niedbale kartki po kartce zatrzymała się na liście.

Czerwiec 1917.

— Pani Moja Jedyna...

— Dziś otrzymałem pierwszy list od swoich. Okazuje się, że po bitwie pod Krowopiszken dostałem się na oficjalną listę zabitych. Opłakał mnie ojciec, brat, siostra no i narzeczona, która od tego czasu zdążyła się zaręczyć z innym i do tego Moskalem.

Wolno nam pisać miesięcznie cztery listy i dwie kartki.

Odpisałem ojcu kartkę, bo nie mogłem zdobyć się na poświęcenie listu i możności porozmawiania z moją panią".

Sierpień, 1917 roku.

Studja skończone. Zostają mi jeszcze dwa egzamina z historji wojen punickich i tragedji Persepolis i o porozumiewaniu się ludów pierwotnych, a potem rozprawa i szukanie sobie chleba.

(Ciąg dalszy nastąpi).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

25)

Wszystko to z szybkością błyskawicy przemknęło przez umysł młodego policjanta, jak starożytni gladjatorzy, do walki się gotujacego.

Gdy Maj skręcał w stronę mostu, Lekok rzucił łopatę, podbiegł następnie do posterunkowego, do Prefektury właśnie wchodzącego, a oddając mu list, jaki miał przygotowany w kieszeni, rzucił mu rozkaz:

— Odnieś to natychmiast do sędziego śledczego, p. Segmullera. Sprawa jest pilna i urzędowa.

Zdumiony strażnik podobną zuchwałością brudnego oberwusa, chciał go skarcić naprzód, a następnie zapytać, odkąd to uliczna łobuzerja korespondować raczy z wyższemi urzędnikami wymiaru sprawiedliwości? Lecz przez ten czas Lekok był już daleko.

Gonił Maja. Zaś ten szedł sobie przez most najspokojniej w świecie, z rękami w kieszeniach, z głową do góry i z miną bardzo pewną siebie.

Nic w nim nie zdradzało zbiegłego z więzienia, zwłaszcza iż był przyodziany nader przyzwoicie w suknie, których mu dostarczyła waliza, owa sławna waliza z hotelu Marienbadzkiego. Gdy tak przechodził, można go było wziąć za robotnika, który się wystroił idąc na hulankę.

Na ulicy św. Jacka mniemany Maj, po długich wahaniach, namysłach i uważnem rozczytywaniu się w szyldach wszedł do sklepu handlującego starą odzieżą.

— Eh, eh!... — mruknął do siebie Lekok wtedy — założyłbym się, iż ten Maj mniemany, w swych studenckich czasach bywał tu czasami, ażeby sprzedać coś z garderoby, a pozyskane w ten sposób pieniądze stracić z kolegami.

Umieścił się w przeciwległej bramie i zdawał się być cały zajęty zapalaniem cygaretki, która nie chciała i nie chciała się zapalić. Ojciec Nalewajka zaopinjował, iż w tych warunkach może się zbliżyć śmiało do niewidzialnego w ciemnościach bramy swego towarzysza wyprawy.

— Ei, panie Lekok — powiedział — coś mi się bardzo zdaje, że nasz ptaszek zamierza zamienić swe dostatnie ubranie na o wiele gorsze, ażeby w ten sposób zdobyć sobie nieco grosza. A co mi pan mówiłeś dziś rano? „Maj jest bez centima w kieszeni i ta okoliczność właśnie będzie dużym atutem w naszej grze". Szansa ta wymyka się zdaje z naszych rąk... Co teraz będzie?

— Cicho, stary, zamiast krakać złowróżbnie i pogrążać się, przed faktem jeszcze, w rozpaczy, róbmy lepiej dalej swoje: uważajmy.

Zgromiony w ten sposób Nalewajka oddalił się jak zmyty. Lekok nie był jednak tak spokojny, za jakiego uchodzić pragnął. Przeciwnie, po odejściu swego towarzysza zaczął sobie robić gorzkie wyrzuty, że znów popełnił błąd bardzo duży, pozostawiając Majowi jego walizę. Należało mu ją odebrać, zmuszając tym więźnia, by uciekał w swych pierwotnych łachmanach, jakie włożył na siebie, idąc do „Pieprzniczki".

Wyrzuty te bardzo, przyznać należy, uzasadnione rozwiały się jak dym, gdy Lekok ujrzał, iż Maj wyszedł od tandeciarza nie zmieniony, w tem samem ubraniu, jakie miał na sobie poprzednio. Atut pozostał przy nim, Maj był bez grosza.

Więzień poszedł dalej, lecz nie tak już pewnym jak poprzednio krokiem. Zdawał się zataczać chwilami, a na jego twarzy malowała się ciężka troska, rozpacz nieomal.

Nie sama odmowa kupna odzieży wywołać była zdolna tak wielką zmianę. Cóż więc się takiego stać mogło? Lekok postanowił dowiedzieć się o tem.

Gwizdnął przeciągle w sposób umówiony, a powiadamiający w ten sposób Nalewajkę, iż pozostawia mu dalsze tropienie i zawrócił do składu.

Tandeciarz stał jeszcze za ladą.

Lekok nie bawił się w ceregiele, pokazał mu swą kartę i tonem ostrym zażądał zgodnych z prawdą odpowiedzi na zapytania.

— Czego żądał człowiek, który przed chwilą sklep ten opuścił?

Handlarz zmieszał się widocznie.

— To długa historja — powiedział.

— Niemniej będziesz musiał mi ją opowiedzieć — odrzekł sucho ajent, zainteresowany pomieszaniem tandeciarza.

— O, ja nie mam nic do ukrywania. Będzie temu jakieś dni dziesięć, do dwunastu, jak do zakładu mego przyszedł jakiś jegomość z dość dużą paczką w ręku i powiedział, że ma ze mną do pogadania w pewnej sprawie dotyczącej moich stron rodzinnych.

— Pan jesteś alzatczyk zapewne?

— Tak jest, panie. Zbliżała się właśnie pora śniadaniowa, zamykam więc sklep i idę z mym niezwykłym klijentem do pobliskiej winiarni, do której mnie zaprosił i zaczynamy rozmawiać. Gadu, gadu o rodzinnych stronach i o wspólnych znajomych, w czasie czego nieznajomy podać kazał śniadanie i drugą butelkę jeszcze lepszego wina, aż wreszcie przystąpił do interesu, który go do mnie sprowadził. Zaczął opowiadać mianowicie, iż w Paryżu miał się spotkać z jednym ze swych krewnych z tej samej co on wsi, który jednak, ku jego wielkiemu zdziwieniu nie przybył, powiadamiając go jedynie, iż będzie mógł przyjechać dopiero za jakiś tydzień, a może i za dwa. Otóż ma on dla tego krewniaka swego pakunek, z którym nie wie, co zrobić? Więc się zwraca do mnie z prośbą, bym go wziął na przechowanie i wydał go temu, który po niego się zgłosi, ze słowy: „Dzień dobry, proszę o paczkę, jak ciepło". Odmówiłem z miejsca. Ten ponowił nalegania, dodając, że nie żąda, bym zrobił to za darmo, przyczem zaproponował mi sumę tysiąca franków. Kąsek był łakomy, lecz ja bałem się jakiegoś podejścia, zatargów z policją... więc propozycję odrzuciłem stanowczo i kategorycznie. Cała sprawa wydała mi się bardzo podejrzaną i Bóg raczy wiedzieć, czem się to skończyć mogło?

W tem miejscu handlarz przerwał swe opowiadanie, ażeby powietrza zaczerpnąć.

— Cóż dalej? — zawołał Lekok, który stał jak na rozżarzonych węglach.

— Co dalej?... — Ano nic. Nieznajomy zapłacił dość słony rachunek bez skrzywienia się, pożegnał się, nie ukrywając swego gniewu i już go więcej nie widziałem. Zapomniałem już o całej tej sprawie, gdy dziś, jak to panu wiadomo, jakiś również nieznany mi mężczyzna wchodzi do mego sklepu podchodzi do mnie, jak w dym, i wygłasza owe hasło umówione: „Dzień dobry, proszę o paczkę, jak ciepło". Odrazu sobie wtedy przypomniałem wszystko, spojrzałem ciekawie na przybysza, a następnie powiedziałem mu, że nie mam żadnej paczki i nigdy jej nie miałem, chociaż mi to proponowano. Gdy to usłyszał, zbladł tak bardzo, iż sądziłem przez chwilę, że zemdleje. Rozbudziło to moją czujność i niedowierzanie, to też gdy po chwili zaproponował mi, bym nabył jego ubranie, dając w zamian gorsze z jakąś dopłatą — odmówiłem ostro i zażądałem, by natychmiast sklep mój opuścił, grożąc policją w przeciwnym razie.

— A jak wyglądał ów krewny?

— Był to mężczyzna dość korpulentny, wysoki i wyjątkowo czerwony na twarzy.

Lekok wiedział już wszystko co wiedzieć pragnął, pożegnał więc uprzejmie handlarza i wybiegł szybko że sklepu, z tą myślą pełną uciechy, że jednak wykrycie sposobu porozumiewania się Maja ze światem zewnętrznym dało pewne wyniki, bo najwidoczniej przerwało korespondencję i wspólnik nie zdołał już powiadomić więźnia o swem niepowodzeniu u tandeciarza.

Aczkolwiek ajent nasz nie bawił nawet pięciu minut w handlu starzyzną, Nalewajka jednak wraz ze śledzonym Majem zdołali się jednak oddalić, tak bardzo, że ich nigdzie nie było widać.

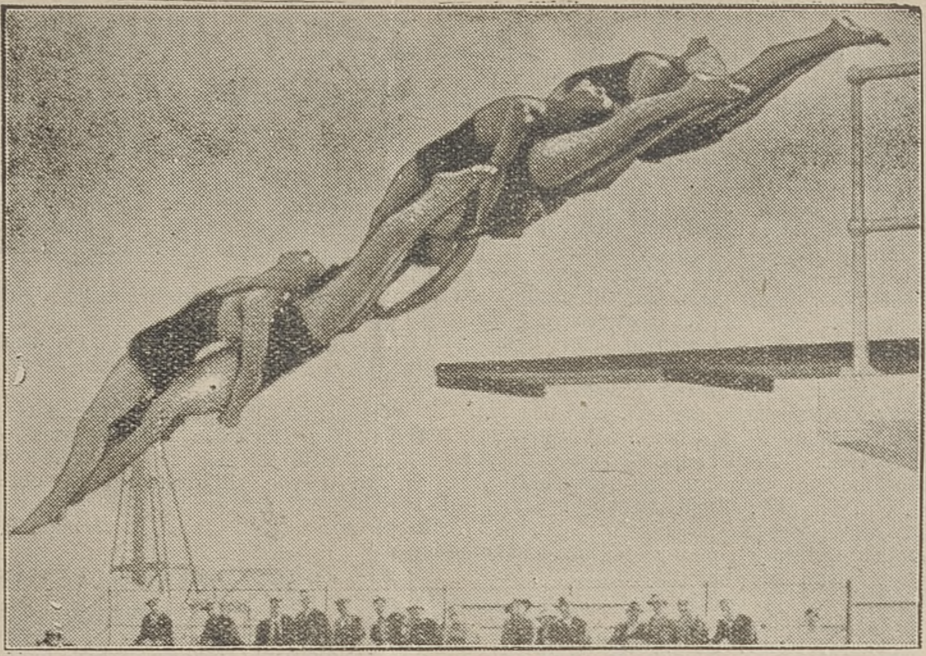
Nie było jednak w tem nic niepokojącego, dwaj ajenci bowiem robiąc przygotowania do tej wyprawy, wypadek podobny z góry przewidzieli, umawiając, się, iż znaczyć będą ślady swego przejścia strzałami, wskazującemi kierunek, a kreślonemi kredą na ścianach.

By więc wiedzieć, w którą stronę ma się skierować? — wystarczało Lekokowi rozejrzeć się po murach.

Trud ten nie był uciążliwy zbytnio. Na pierwszym rogu odrazu, przepysznie narysowana strzała wskazywała, iż więzień dążył w górę ulicy św. Jacka, strzała następna informowała, iż skręcił on w ulicę Sefflot, trzecia — iż wkroczył na bulwary św. Michała. W końcu Lekok znalazł się na ulicy Le Prince.

— Jedno jest teraz pewne — rozmyślał w czasie tej pogoni — że łączność wspólnika z Majem jest w obecnym momencie przerwana, tak iż mój więzień jest pozostawiony własnym siłom i liczyć może na siebie jedynie. Na razie chodzi więc o to, by niedopuścić do ponownego nawiązania kontaktu. Od tego zależy wszystko.

Dążąc tak bezmyślnie prawie za kierunkiem strzał, Lekok nie spostrzegł się nawet, jak ujrzał się przed Odeonem,



Niezwykle ciekawy skok sześciu złączonych z sobą pływaczek angielskich, który zbudził ogólny podziw i zachwyt publiczności.

pod kolumnadą którego dojrzał ku swej radości Nalewajkę.

Stary ajent stał przed kramikiem z książkami i zdawał się być cały pochłonięty oglądaniem rozwieszonych tam drzeworytów.

Lekok przybrał natychmiast andrusowską postawę paryskich ulicznikow i, gwiżdżąc kankana, podszedł z rękoma w kieszeniach i brzuchem naprzód wysuniętym do swego towarzysza.

— Cóż Maj? — zapytał przez zęby.

— Siedzi na stopniach pomnika — odpowiedział Nalewajka, nie odwracając wzroku od sztychów.

Istotnie goniony więzień na stopniach smutnego posągu odpoczywał — najzupełniej złamany, co poznać było można od pierwszego rzutu oka.

Twarz miał ukrytą w dłoniach, jakby chciał ją ukryć przed spojrzeniami ciekawych. Czuł, bezwątpienia, że jest śledzony i pilnowany bacznie. Był przytem w tem wielkiem mieście zupełnie samotny i bez grosza. Miał wprawdzie, co ulegać nie mogło żadnym wątpliwościom, przyjaciół w Paryżu, nietylko możnych, ale i takich, którzyby oddali za niego życie, lecz wiedział, że przy pierwszem usiłowaniu zbliżenia się do nich, jego tajemnica zostanie odkryta. Zaś tę — cenił ponad życie. Że tak było, dowodził całem swem postępowaniem, Golgotą swoją całą.

Lekok przyglądał się Majowi przez czas bardzo długi, na jego twarzy, przez krótki moment zresztą, odmalowała się jakby litość dla ściganego, następnie zwrócił się jednak do Nalewajki z zapytaniem:

— Co robił ścigany, w czasie tak długiej drogi?

— Wstępował coś do pięciu jeszcze tandeciarzy, lecz bez rezultatu. Chciał następnie sprzedać swą kurtkę handlarzowi na ulicy, lecz ten nawet rozmawiać z nim nie chciał. I nie dziwota, przecież starzyznę kupować wolno od przebywających w lokalach tylko.

— Tak to tak — rzekł Lekok wtedy, kiwając poważnie głową — masz tutaj dowód, mój Nalewajko, iż żyć każdy może w odpowiednich dla danego rodzaju czy gatunku warunkach jedynie. Orzeł zginie w wodzie, a lew, najdzielniejszy choćby, nie utrzyma się w powietrzu. Oto ten człowiek: taki dzielny, przedsiębiorczy, odważny... człowiek wyjątkowy... gdy się znalazł w nieodpowiednich dla siebie warunkach, okazał się słaby i niezaradny jak dziecko. Patrz na niego — więziony — zwyciężył i mnie i sędziego śledczego, tak, iż musieliśmy go wypuścić na wolność, do tego stopnia okazał się mocarny i niezwalczony. Gdy jednak się znalazł na wolności — nie umie uczynić jednego kroku. Na jego miejscu się znajdując, pierwszy lepszy ptaszek niebieski, jakich pełno jest w więzieniu, doskonale by sobie poradził jakoś, ten zaś — jest bezsilny. Ten jego bezwład potwierdza najlepiej mą tezę. Tak... jest to bogaty człowiek nie znający życia absolutnie.

Dalsze wywody Lekoka zostały przerwane, ponieważ rzekomy Maj powstał nagle z siedzenia.

Ajent nasz stał od niego w oddaleniu kilkunastu kroków zaledwie, to też miał możność przyjrzenia mu się dobrze.

Nieszczęśliwy człowiek w więzieniu osiwiał zupełnie, a cała jego postawa ujawniała ogromne wycieńczenie.

Gdy powstał, w jego oczach widać było niepewność i wahanie. Być może, że zapytywał siebie, czy nie byłoby najrozsądniej oddać się dobrowolnie w ręce władz... gdy sposoby ratunku, na które liczył, zawiodły go?...

Bardzo szybko jednak otrząsnął się z tego chwilowego osłabienia ducha i znów był gotów do walki; wzrok rozbłysł mu dawną energją, wzniosło się ku górze pochylone przed chwilą czoło. Energicznym krokiem ruszył naprzód, kierując się w stronę teatru Komedji.

Szedł żywo, jak człowiek świadomy celu swej drogi.

— Dokąd on u licha zmierzać może? — zagadnął Lekoka stary Nalewajka.

— O... na pytanie to odpowiedzieć ci mogę z całą pewnością, mój stary. Przysiągłbym, iż śpieszy do Marjenburskiego hotelu i jestem tego tak bardzo pewien, iż zamierzam go uprzedzić, by przygotować tam na jego przyjęcie pasztet mego pomysłu. Mogę się mylić jednak, na wszelki więc wypadek kreśl swe strzały na murach, ja zaś pędzę.

Po słowach tych, Lekok wsiadł do przejeżdżającej pustej dorożki i odjechał. Wiedział, jak mało mu pozostaje czasu, to też zgóry zapłacił dorożkarza, a następnie wyszukał w portfelu potrzebny papier, czekając z niecierpliwością końca podróży. Gdy zaś dorożka dojeżdżała do hotelu, nie czekając nawet na jej zatrzymanie się wyskoczył z niej i w dwóch skokach był już w kantorze, gdzie zastał, jak za pierwszą swą bytnością, jasnowłosą panią Miller, stojącą na krzesełku przed klatką i uczącą swego szpaka niemieckiej piosenki, której ptak nie chciał powtarzać niestety, wołając natomiast „Kamilla!... gdzie jest Kamilla!"

Na widok obdartusa wkraczającego bez zapytania do kantoru, pani Miller zawołała z gniewem:

— Czego chcesz tutaj?...

Lekok skłonił się grzecznie, pragnąc uprzejmością obejścia zatrzeć złe wrażenie ubrania swego, a następnie powiedział:

— Jestem, proszę pani, siostrzeńcem jednego z woźnych, który pełni służbę w Pałacu Sprawiedliwości. Otóż wujek mój otrzymał wczoraj ten papier oto, z poleceniem, by go odniósł pani dziś rano, i to jak tylko będzie można najwcześniej, bo jest bardzo podobno ważny. Na nieszczęście w nocy dostał tak silnego ataku reumatycznego, że się ruszać nie może, więc ja się podjąłem przynieść papier ten za niego. Jest to rozkaz, ażeby pani stawiła się u sędziego śledczego.

Słowa te zniewoliły, rzecz prosta, właścicielkę hotelu do porzucenia zabawy z ptakiem. Wzięła do rąk nie nazbyt przyjemne dla niej wezwanie, a po jego przeczytaniu rzekła:

— Uczynię zadość rozkazowi sędziego. Włożę tylko płaszczyk na siebie i idę natychmiast.

Lekok wyszedł wtedy ze słodką miną i cały w ukłonach, w jego przymkniętych oczach tylko błyskały iskierki zadowolenia, że mu się udał wybieg.

Oddał wdowie piękne za nadobne. Ona go przedtem wyprowadziła w pole, teraz on ją za to do lasu posłał.

Po wyjściu z hotelu Lekok skrył się w cieniu rusztowania w pobliżu budującego się domu i czekał. Czekał z niecierpliwością, bo wykonał swój plan w małej części dopiero, a czasu miał przecież nie wiele, Maj mógł przyjść lada chwila, a tu pani Millerowa nie wychodziła z hotelu i nie wychodziła.

Miała wyjść natychmiast, Lekok zapomniał jednak o tem, iż właścicielka hotelu Marjenburskiego była kobietą jeszcze młodą, zalotną i bardzo przyjemną, jak utrzymywał naczelnik pobliskiego komisarjatu.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

CO MINĘŁO, NIE POWRÓCI

I tak się dziwnie już w życiu składa:
Cokolwiek lekko pożegnasz, rzucisz,
Niebacznie stracisz, albo ominiesz —
To choćbyś pragnął, już nie powrócisz.

Tak się już dziwnie życia dni plotą:
Raz szczęściem błysną, olśnią radością,
To znów zasnują dziwną tęsknotą,
Ale przeminą i już nie wrócą.

Więc chociaż żal ci marzeń przepadłych,
Choć strata młodych lat cię zasmuci,
Nie narzekaj, lecz zawsze pamiętaj,
Że co minęło — już nie powróci.

Marja Zemmlerówna.

DO WIADOMOŚCI SYMPATYKÓW „KRAINY"

Przypominamy, uprzejmie, że do każdego listu, przesyłanego za pośrednictwem „Krainy" należy załączyć 25 gr znaczek na dalszą przesyłkę, gdyż w ostatnim czasie zdarzyły się znowu wypadki, przesyłania listów bez opłaty.

W redakcji są listy dla: „Wulkana Wesołości", „Ptaszyny z nad morza", „Pantuera", „Bandyty" „Bogini", „Kajtusi z Kaszub", Romana N., „Dzikuski z Hulajskiej Trójki", „Skoczybrózdy", „Czarnego Oczka z Jarocina", „Wandzi—podlotka", „Czarnego Olka", „Samotnej duszyczki B." — „Podoficera" — „Haneczki" — „Melutki" „Smutnego Serduszka", „Robinsona", Wesołego Łobuza", „Skromnisi", „Janka z pod Buku", „Opuszczonej Owieczki", „Samotnego Lesia."

BARDZO SZCZERY I MIŁY LIŚCIK

„Dzianka." Pomimo, że nie otrzymałam od Pani upoważnienia, do przedrukowania całego liściku, oddaję go do druku, gdyż jest tak szczery i miły, że każdy go sobie przeczyta z chęcią:

„Kochana Pani Zosiu! Od roku jestem czytelniczką „M. P.", a od paru miesięcy abonuję je sama, ale dotąd nie mogłam się zdobyć na odwagę, by napisać do Pani i podziękować za te wszystkie ciepłe słowa pociechy, któremi darzy Pani wszystkich zawiedzionych i nieszczęśliwych Symp. „M. P." Właśnie „Krainie" mam do zawdzięczenia, że dzisiaj jasno i pogodnie patrzę w życie, a choć są czasem chwile zwątpienia i smutku, staram się szybko z nich otrząsnąć. Były chwile w których życie nie miało dla mnie żadnej wartości. Los ciężko mnie dotknął, bowiem w jednym roku straciłam ukochaną mateńkę (ojca nie mam już od dawna) i zawiodłam się na sercu, które sądziłam, że choć w części mi matczyne zastąpi. W chwilach największego zwątpienia i smutku wpadły mi w ręce „Moje Powieści". Czytając „Krainę" zrozumiałam, że nie należy iść przez życie egoistycznie zapatrzona w własne cierpienie i ból, że trzeba się nauczyć żyć dla innych, że tylu, tylu cierpi również, a mimo to nie upada na duchu. Niestety, brakło mi dotąd odwagi napisać do Pani Zosi, aż wreszcie po długich namysłach ośmielam się pukać do „Krainy", prosząc o przyjęcie do grona siostrzyczek i braci. Mam nadzieję, że w dobrem sercu Pani znajdzie się i dla mnie kącik. Jestem sobie przeciętną, ćwierć wieku liczącą blondynką. Mieszkam od dwóch lat (dawniej pod Gnieznem) w małej mieścinie, leżącej w cudnej okolicy, nad królową rzek polskich, w Fordonie. Niestety, nie mam czasu, by zwiedzić wszystkie urocze zakątki, w które tutejsza okolica obfituje, gdyż jestem stale zajęta. Nie mam tu nikogo, z kim mogłabym podzielić troski i cierpienia. Może znajdzie się w „Krainie" ktoś naprawdę dobry i szlachetny (może która z siostrzyczek, bo tej w życiu nie miałam) z kim by troski, bóle i zmartwienia podzielić można, niech do mnie napisze, a chętnie odpowiem.

P. S. „Paziowi" i „Odrobinie Szczęścia" przesyłam serdeczne pozdrowienia."

Do „Krainy" oczywiście przyjmuję Panią i przyrzekam liściki przesłać zaraz po wpłynięciu do redakcji. Łączę serdeczne pozdrowienia.

LIST W GWARZE KASZUBSKIEJ

„Samotna Konwalja." Musi być Pani bardzo pogodną istotką, skoro potrafi pisać tak bezgranicznie miłe i radosne słowa i tak oryginalnie pozować do zdjęć. Szczególnie podoba mi się fotografja, na której przygotowuje się Pani do konnej jazdy na silnie zbudowanym „rumaku." Dość jednak o zdjęciach, gdyż czuję, że zbyt zaabsorbowałabym tem Sympatyków „Krainy", a wiem doskonale, z własnego doświadczenia, że to niemiło dużo słyszeć o ciekawych zdjęciach, a nie móc ich zobaczyć.

Pomówimy więc o tem, co zainteresuje nas wszystkich. W pierwszym rzędzie zasyłam w imieniu Pani serdeczne pozdrowienia: „Hordowi", „Marynie", „Kartuzjaninowi" i „Rotmistrzowi" Następnie oddaję do druku liścik „Samotnej Konwalji", pisany w gwarze kaszubskiej, gdyż wiem, że dużo Czytelników „Moich Powieści" zna ją bardzo dobrze, więc przeczyta list z miłą chęcią:

„Hallo! Hallo! Tu „Kaszebka" godo! Słechetale Kłechani Kaszebi! Tere baro wiele naszych rodaków so słeji macerzyńsczi młewe wstidzi: a to nie je fien. Rychtyk ple kaszepsku płewjedzamy: „lechy ptok, co słeje gniozdo kolo." Jo nische nikłegli kritizyrowac, ale wiedno s każdym gadać jak chto może. Decht z cegónami te jo godom chłec teperlatinsz. Jo so muszą dżełować, że tero wnet wszesce ledze są jiszczą ji godają, że na tym swiece je lechło. To nie je prowda. Jo godom, że ten swiat je ten sóm, jak ten był za Adama ji Ewe. Ale ti ledze nie są ti sami.. Cze młodzeż cze story, to tere wszystkie głepieje ji sami w tą bjeda lezą, a tej narzekają; cze je ju za pózno. To są pewno rechli niepłeprawi jisz me wszesce ledze są płeprawime. Cze me łe Błegu niezaboczime, te ji łen łe nas nie zaboczi. Ale to nich mje niechce jerzec. Smieja jo są, te mje rzeką tak. Cesz cabia je wek, czej te so co zameslisz to te mosz. Jo, „nierówno Pan Błeg daje, jednemu gäs, a dreczemu jaje." Ale płe rózach jo też nie tenceją, a bez łele Błeszczi ani włos z głowe niespadnie, te jo doch nimom prawa narzekać. Jo meslą, że ji wa wszesce co to bądzeta czeta, niemozeta tesz narzeka, chłec te gulde spadłe, to me doch do smierce bądzeme żeła. A to dreczi niech je jak chce. Hauptzacha Płelsko je. A tere mje tesz kąsk napiszeta czej jo móm prowdę czej nie. Te z Błega."

A WIĘC DZISIAJ...

A więc dzisiaj rozstałam się z tobą,
Tak spokojnie, bez żalu i łez;
Miłość piękną jest życia ozdobą,
Każde szczęście ma jednak swój kres.

Choć kochałam cię prawie nad życie,
Przecież wiecznie nie może tak być,
Może dziś jeszcze kocham cię skrycie,
Lecz w rozłące musimy już żyć.

I spłyną, jako dym z papierosa,
A z miłości twej czystej, jak rosa,
Twych uczuć jasne, złotolice sny,
Śmiać się będziesz napewno i ty.

„Leśna Rusałka."

KAŻDA CZYTELNICZKA

„Moich Powieści" powinna być prenumeratorką Ilustrowanego Dwutygodnika kobiecego p. t.

„MOJA PRZYJACIÓŁKA",

który kosztuje

TYLKO 80 GROSZY MIESIĘCZNIE

„Moją Przyjaciółkę", w której „Pani Zofja" prowadzi popularny dział „My — kobiety — między sobą" — czyta każda kulturalna, praktyczna i oszczędna Pani. P.K.O. 209.062. Wystarczy adresować:

„MOJA PRZYJACIÓŁKA" ŻNIN.

WSPOMNIENIE

Łąka. Zieloność jej cudnie słońce wyzłaca
I wietrzyk pieściwie wysmukłe trawy trąca —
Wspomnienie odległe, a jednak żywe, wraca,
A z niem marzeń słodkich fala dziwnie gorąca.

Tak samo, jak dzisiaj, niebo było błękitne
I łąka też miała tę szmaragdową barwę —
Szczęście stąpało tuż... tuż... zwiewne, nieuchwytne,
Życie zdawało się nam największym być skarbem.

Powietrze tak pełne przesłodkiej było ciszy,
I taka złocistość wokoło jasna słońca —
Zdawało mi się, że głos serca twego słyszę,
Myśli twe zdradzała głębia oczu gorąca....

Danuta Wyrybkowska.

PRZECZYTAŁAM Z WIELKĄ UWAGĄ

„Maleńka Halutka." List Pani przeczytałam z wielką uwagą. Żal mi Pani ogromnie. Stracić w ten sposób narzeczonego, to bardzo przykro. Sądzę z opisu, że to wpływ matki oddalił go od Pani. Proszę więc, niech Pani się pogodzi z smutną rzeczywistością i stara się zapomnieć o tym, który złamał przysięgę i zawiódł pokładane w nim nadzieje. Tak będzie najlepiej! I tak nakazuje duma kobieca. Zapomnieć i w czemś innem szukać ukojenia i zadowolenia. Z początku będzie przychodziło to trudno, bo nic tak nie boli, jak zawiedzione i zranione serce, jednakże silna wola i czas — niezawodny lekarz, zrobią swoje — wrócą Pani spokój i wiarę w lepszą przyszłość.

Pragnie Pani poznać jakąś bratnią duszę? Myślę, że pragnienie to już wkrótce się urzeczywistni. Jeżeli wpłynie jakiś liścik dla „Maleńkiej Halutki", prześlę go natychmiast.

Załączone ogłoszenie będzie kosztowało 75 gr, a z powtórzeniem 1,50 zł. Pieniądze może Pani przesłać w znaczkach. Po otrzymaniu należności podamy zaraz anons, zgodnie z życzeniem, albo w „Moich Powieściach", albo w „Mojej Przyjaciółce."

ODPOWIEDŹ — NA KAŻDY LIST

„Anguis" i „Tropidonotus" dziękują „Halszce II" za pozdrowienia i odwzajemniają uścisk dłoni, przesyłają tysiące pozdrowień dla p. Łucji z Skórcza, „Kwiaciarki" — „Białej Ujali" — „Milutkiej Janeczki" — „Wesołej Dziewczynki" i „Wulkana Wesołości", prosząc, aby wymienione Panie zechciały, do nich napisać. Na każdy list przyrzekają dać odpowiedź.

CZEKAM!

„Ryśka D." Daję Ci dzisiaj, Kochana „Rysiu", odpowiedź na list przesłany razem z fotografją. Jak już wspomniałam, list do p. „Carla" wysłałam i sądzę, że do tej pory zdążył już na niego odpowiedzieć?

A teraz zwracam się w Twojem imieniu do Sympatyczek z „Krainy Szczerości", czy nie zechciałaby która z nich nawiązać korespondencji z „Ryśką D." Może być nawet bardzo smutną, dlatego, że „Ryśka" pragnie ją szczerze rozweselić.

Opisany „kawał" z pantofelkami ubawił mnie bardzo, tak samo „powiedzonka" godne najzupełniej słownika Zawalidrogi.

Żegnam Cię, Kochanie, serdecznemi uściskami i czekam na telefon. W redakcji jestem prawie zawsze obecna pomiędzy godz. 10—1 przed południem, nr. telefonu 32.

DZIĘKUJĘ

„Szatyn 22" przesyła pozdrowienia: „Samotnej duszyczce B", „Idzie", „Topólce", „Śląskiemu Łobuzowi", i „Leśnej Nimfie", oraz dziękuje „Mary z Ameryki" za pozdrowienia i prosi ją o miły liścik, w celu nawiązania korespondencji.

Po załatwieniu powyższych zleceń Pana, czuję się w obowiązku podziękować jak najserdeczniej za przesłane mi pozdrowienia, również za moc uścisków załączonych dla Wujka Janusza.

Adres otrzymałam, czy, listy, Pan odebrał?

„VIOLETTE" NIE OTRZYMAŁA ŻADNEGO LISTU

„Violette." Przesyłam Pani wyrazy współczucia z powodu długiej choroby i cieszę się równocześnie, że napisała Pani znowu do mnie po wielu tygodniach serdecznie, jak zwykle. Sądzę, że kontakt pomiędzy nami nawiąże się na nowo? Pisze Pani, że nie otrzymała dotychczas żadnego listu, lecz się tem nie przejmuje, lecz przesyła miłe pozdrowienia „Kartuzjaninowi" i prosi go o skreślenie kilku słów. Również łączy Pani pozdrowienia dla „Wuki."

Ciekawa jestem, czy jeden z powyższych Panów napisze do „Violette" — chyba tak! Zresztą „płeć piękna" jest na wyjątkowych prawach, zwykle nie odmawia się jej niczego, a co tu mówić o jej przedstawicielce, która tak pięknie prosi i będzie potrafiła prowadzić interesującą korespondencję.

ODPOWIEDŹ NA MIŁE LIŚCIKI

„Stella Maris." Dzisiaj daję Pani odpowiedź na dwa, przesłane ostatnio, liściki.

Znajome mi już bardzo literki na różowych bilecikach, odczytałam z taką serdecznością, jak słowa przesłane mi przez bliską i kochaną osobę. Może przyczyniła się do tego załączona niedawno do listu fotografja, na której inteligentna twarzyczka Pani wygląda bardzo pociągająco i wzbudza dużo sympatji, a może ta szczerość i ujmująca słodycz, której tak pełno w liścikach Pani — dość, że lubię ogromnie, te miłe stroniczki listów Pani, odczytywać.

Między innemi dowiaduję się, że chorowała Pani. Niemiła i przykra sprawa, jednak nieuniknioną. Tegoroczne lato kapryśne okropnie — akurat w same wakacje „gnębi" nas chłodem i deszczami, nabawiając nas kataru, a nawet poważniejszych chorób; najlepszy dowód, że Pani spędzała w lipcu czas w łóżeczku.

Widzę jednak, że rozpisałam się za dużo na temat pogody, kończę więc, przesyłając Pani serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że „Wróżka Słońca" prześle kiedyś chociaż króciutki liścik dla „Stelli Maris."

List wysłałam, zaś kilka słów, dotyczących „Bandyty" — przedrukowuję:

„Bardzo zinteresował mnie swym apelem, w jednym z numerów „Moich Powieści", — „Bandyta." Ślę mu pozdrowienia i proszę, aby się zdobył na odwagę i napisał do mnie pierwszy, a na liścik chętnie odpowiem. Odwagi „Bandytko!"

KTO NAPISZE?

„Ofiara losu." Na liścik Pani daję odpowiedź pod jednym pseudonimem, natomiast pod drugim tylko pozdrowienia. Prosi Pani o przyjęcie do „Krainy"... Czynię to z miłą chęcią i przedstawiam nową Sympatyczkę naszej „Rodzince": „Ofiara losu" to młoda Pomorzanka, brunetka, zamiłowana w śpiewie i muzyce. Pragnie zostać śpiewaczką i w tym celu wstępuje do konserwatorjum śpiewu. Śle serdeczne pozdrowienia: p. G. Dob., „Ord-Omowi", „Smutnemu Urwisowi", „Pomorzaninowi", „Białemu Murzynowi" i „Białej Uajali", bardzo prosząc powyższych Sympatyków o liściki.

Podaję Pani dwa adresy konserwatorjów, w których uczą śpiewu: Konserwatorjum Muzyczne (państwowe) Poznań, ul Wrocławska 17 i Wielkopolskie Konserwatorjum Muzyczne Poznań, ul. Franciszka Ratajczaka 35.

UCIESZYŁAM SIĘ

„Pomorzanka z nad Wisły." Ucieszyłam się bardzo listem, bo dawno już Pani do mnie nie pisała. Za miłe słowa — dziękuję. Załączone przez Panią pozdrowienia dla p. Hieronima z Gołaszewa i przypomnienie o odpowiedzi na liścik — zasyłam. Również pozdrawiam w imieniu Pani „Białą Uajali" i Klarcię z Opalenia.

Dla Pani załączam moc uścisków i wyrazów serdeczności.

CZEKAM

„Takie małe Coś z loczkami." Kochany, Złoty Chochliku! Nie wiem doprawdy skąd się zawsze u Ciebie biorą te miłe, rozbrajające słówka, które czytam z taką radością i wzruszeniem. Wyobrażam sobie, jak wszyscy Cię muszą kochać za tę młodzieńczość i beztroskę.

Za pozdrowienia przesłane z nad Wisły jeszcze raz dziękuję, przesyłam moc uścisków dla Ciebie i Siostrzyczki, oraz czekam na zapowiedziane zdjęcia, zapewnie piękne i interesujące.

ŻYCZENIA

P. Irena V. List wysłałam. Chyba do tej pory korespondencja zdążyła się już pomyślnie rozwinąć? Życzę Pani jak największego z niej zadowolenia i pełnej radości.

Za pozdrowienia dziękuję serdecznie w imieniu Wujka Janusza i swojem.

ZACHĘTA DLA SMUTNEGO SERDUSZKA

„Dzinka." List Pani zrobił na mnie duże wrażenie. Istotnie, życie Panią nie oszczędzało, zsyłając tyle bólu. Serdecznie Pani współczuję i zachęcam do wytrwania. Nie znalazła Pani szczęścia u ludzi, znajdzie je jednak w czemś innem. Przekonana jestem, że otrzymam kiedyś od Pani weselszy liścik, z którego dowiem się, że świat posiada i swoje dobre strony, a życie za zawody i smutki płaci cichem szczęściem. Tak, Droga p. Dzinko, napewno tak będzie!

Apel zgodnie z życzeniem podałam, a teraz czekam na nowe wiadomości, takie szczere i obszerne, jak ostatnie. Przesyłam dużo, dużo pozdrowień.

DO „KRAINY" PRZYJMUJĘ Z RADOŚCIĄ

„Tatjana." Do „Krainy" przyjmuję Panią z radością i zaraz na wstępie czuję się w obowiązku „zburczeć" Panią o posądzenie mnie, jakobym niechętnie odbierała listy od mych Sympatyków, a nawet ironicznie się do nich odnosiła. Zapewniam solennie, że przypuszczenia Pani są bezpodstawne, zresztą o tem się Pani najlepiej przekona sama, gdy, częściej do mnie napisze.

Jak widzę z niektórych zdań listu, jest Pani marzycielką, zamiłowaną w tak pięknych rzeczach, jak przyroda, literatura, muzyka, taniec i śpiew. Ktoś uwielbiający, podobne, napisze zapewnie do Pani pierwszy liścik, a może: „Biały Murzyn" — „Sęp" — „Fakir" — „Samotny Leś" — „Laluś z nad granicy" — „Bandyta" — „Zapomniany" lub „Drań", dla których załącza Pani w liście serdeczne pozdrowienia? A może ktoś z panów studentów, skoro tak bardzo imponują Pani studenckie czapki?

ODEBRAŁAM

„Hrabia Monte Christo." „Straszne podziękowanie" — odebrałam. Przykro mi tylko, że nie udało się Panu, pomimo poczynionych w tym kierunku kroków, nawiązać z kimś korespondencji. Cierpliwości jednak! Napewno i pragnienia Pana się zrealizują.

Pozdrowienia załączone dla „Białej Uajali" — „Mercedes" i „Kaliny" — przekazuję i zarazem zdradzam wymienionym wyżej Sympatyczkom, że „Hrabia Monte Christo" z największem zadowoleniem odebierze od nich liścik. Myślę więc, że napisać warto!

Na zapowiedzianą wizytę w redakcji cieszę się bardzo. Wyobrażam sobie, jak miło porozmawiamy wspólnie o tem i o owem.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia.

„ROK 1935" KOCHA P. ZOFJĘ I WSZYSTKICH SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Rok 1935." Widzę, że posiada Pani bardzo czułe i dobre serduszko, skoro żywi tyle uczuć dla mnie i Sympatyków „Krainy". Postaramy się za to odwdzięczyć, ja w ten sposób, że serdecznie Panią uściskam i ucałuję na odległość, zaś Sympatycy odpłacą się milutkiemi liścikami, oczywiście Ci, którzy lubią korespondować i rozporządzają wolnym czasem.

Za fotografję ślicznie dziękuję! Bardzo oryginalna i ciekawa.

Zakończenie listu Pani oddaję w całości do druku:

„Zasyłam pozdrowienia dla „Wacusiewicza", „Ogrodnika", „Zniechęconego do życia" i zapytuję „Szczerego Ryśka", czy nie jest czasem blondynem, którego poznałam w czerwcu 1933 roku w Gdyni? O ile się nie mylę, znamy się z wycieczek do Grabówek. Dziękuję również „Pomorzance z nad Wisły" i „Wesołej Andziulce" za pozdrowienia, które odwzajemniam."

Teczka Wujka Janusza

POZOSTAŃ SOBĄ...

Kochanemu Władkowi — poświęcam.

Idziesz z uśmiechem słodkim na ustach przez życie,
Choć smutek serce twoje rani i przygniata,
Twa pozorna wesołość — to — maska dla świata,
A ból i żale chowasz na dnie serca skrycie.

Wiem, że do większych rzeczy zostałeś stworzony;
Do jakich — niech zostanie twoją tajemnicą.
Skryj zazdrośnie gorycze pod śmiechu przyłbicą,
Choć serce twe cię ciągnie w dalekie gdzieś strony.

Mnie też nie zrozumieli ci, których kochałem;
I sądzę, że zostanę takim, jakim byłem,
Choć dla nich jestem tylko drobnym prochem, pyłem,
Nic z tego... oni dla mnie będą — ideałem!...

Nie mów nikomu o tem, co myślisz i czujesz;
Zostaw wszystko dla siebie, dla twej duszy własnej,
Przyjdzie czas, że nadejdzie dzień słoneczny, jasny,
I tobie też szczęśliwszy, lepszy los zgotuje.

„Ord-Om" — *Rogoźno.*

BRAK RYTMU

„Mikołowianin." Wierszyk poświęcony „Zefi", pomimo najszczerszych chęci, nie mogę oddać do druku. Może go jednak pan prześle „Zefi" listownie, gdyż jest uczuciowy i miły, tylko nie posiada należytego rymu. Na list odpowie Panu w następnym numerze p. Zofja. Serdecznie pozdrawiam.

JUŻ NIE POWRÓCĄ DAWNE CHWILE...

Już nie powrócą dawne chwile,
Przeszłości dni,
W których radości było tyle
I smutnych chwil.

Już nie zobaczę ślicznych oczu,
W których lśnią łzy,
Bieg życia kołem wciąż się toczy,
Więc gasną sny.

„Słodkiej Psyche" — *poświęca „Te-Em."*

TYLKO JEDEN

„Te-Em." Z czterech przesłanych ostatnio wierszy, wybrałem do druku tylko jeden pod tytułem: „Już nie powrócą dawne chwile..." poświęcony „Słodkiej Psyche", z którą pragnąłby Pan korespondować. Kto wie, czy miły wierszyk nie przemówi do serduszka „Słodkiej Psyche" i już wkrótce nie otrzyma Pan od Niej liściku.

DZIĘKUJEMY!

„Maleńka Dzidzi." Dziękuję Pani jak najuprzejmiej za wzruszającą pamięć. Pocztówka przesłana z Wisły, z mocą serdecznych pozdrowień dla mnie i p. Zofji sprawiła nam radość i miłą niespodziankę. Ślicznie za nią dziękujemy!

POCÓŻ MARZYĆ?

Pocóż marzyć i myślą wzlatać w obłoki,
A życie w piękne ubierać barwy,
Pocóż walczyć i twarde kruszyć opoki,
Pocóż tęsknić za jutrem nieznanem — niepewnem?
Przyjdzie twarde, tak jak było wczora,
Bo nadzieje są obłokiem zwiewnym.
Pocóż łudzić się, gdy troska gniecie ramiona,
Spycha sen z oczu i osłabia siły,
Wciąż krąży wkoło jak zmora niezwyciężona,
Skarżyć się też nikomu nie warto,

Bo dziś tak mało serca na świecie —
Honor — sumienie — marne plony zbiera,
Dzisiaj króluje zysk — no i... karjera.
Więc pocóż marzyć, gdy to życie nasze,
Jak szara kula się toczy,
Zamiast przyjaciół, wokoło judasze,
Co pięknie nam mówią w oczy.

„Dzinka."

WIERSZE NIE PÓJDĄ DO DRUKU

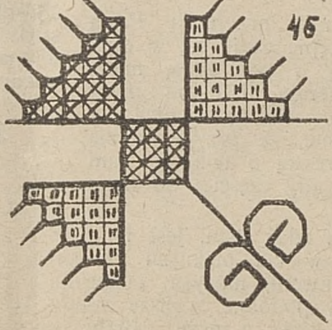
P. Józef P. Wiersze Pana przeczytałem uważnie. Byłyby gładkie i miłe, gdyby nie styl, w niektórych miejscach niepoprawny i zobrazowania wprawdzie barwne, ale ujęte raz za banalnie, raz za rozwlekle. Musi Pan jeszcze dużo nad sobą pracować, zanim napisze coś porządnego i wartościowego. Łączę przyjazny uścisk dłoni.

Raj kobiet

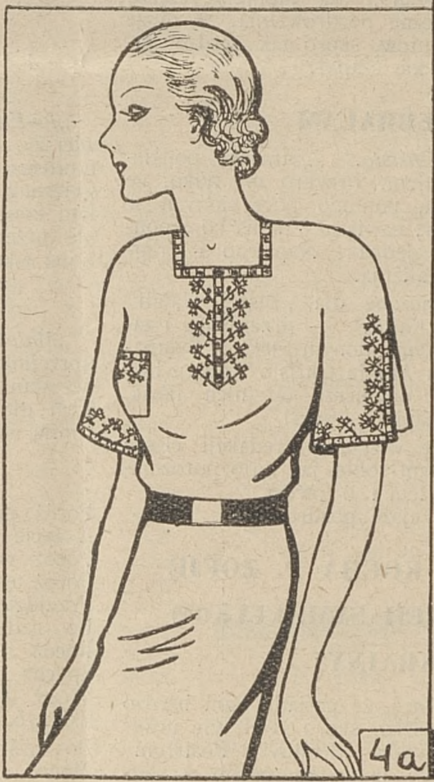
Len i haft zawsze aktualny



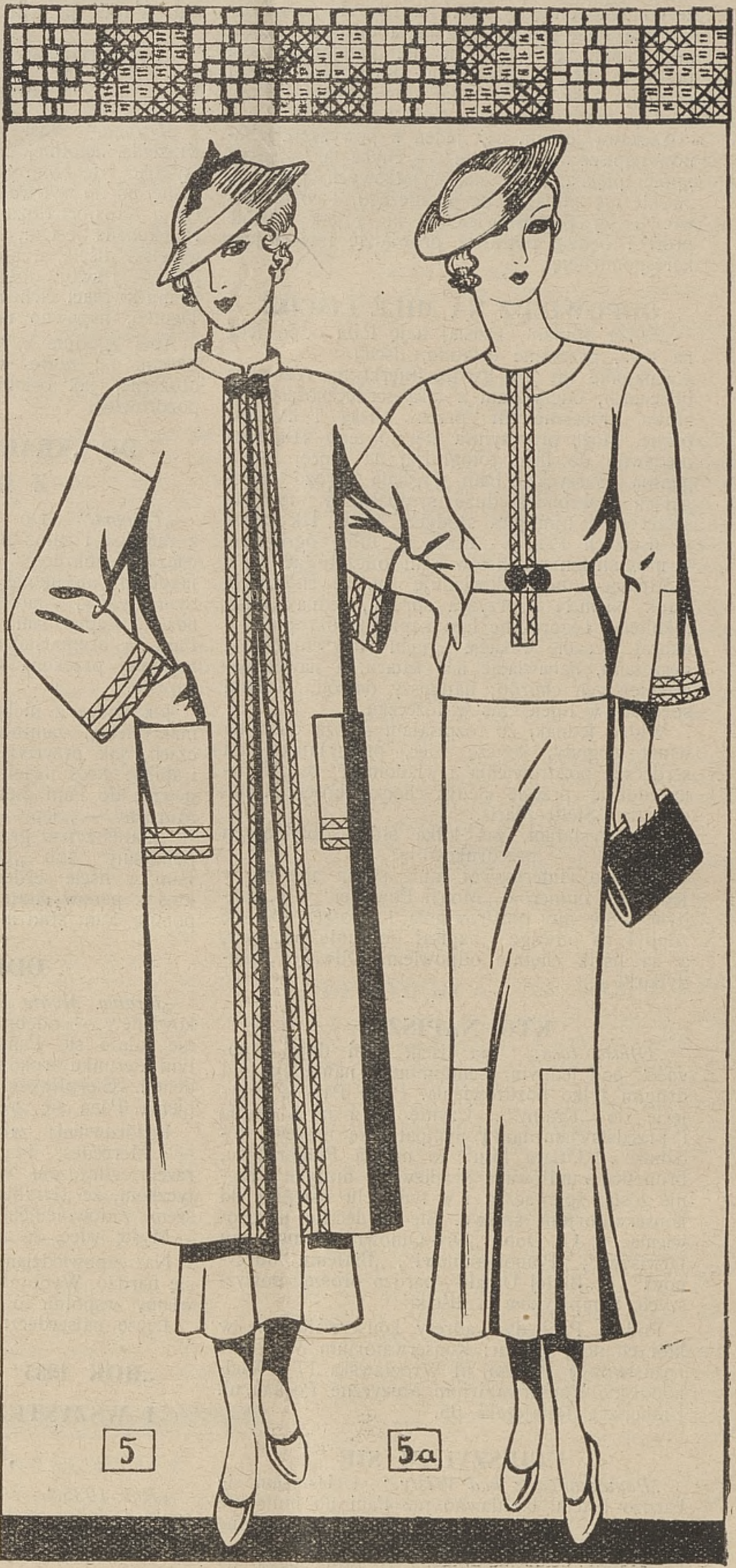
4



4b



4a



5 5a

Lato już u schyłku. W oknach wystawowych magazynów i salonów mód, zamiast powiewnych, lekkich kreacyj mody wiosennej i letniej widzimy już toalety z cięższych materjałów, a zwłaszcza z lnu, który dosłownie rozpanoszył się i zajął pierwsze miejsce w wyborze materjałów. Spotykamy go wszędzie: na ulicach, w eleganckich kawiarniach, w wagonach kolejowych i na plażach. Ubierają się w niego nietylko chętnie kobiety, ale i mężczyźni. Jednakże największem wzięciem cieszy się u pań. Bo też w płócienkach, barwnie haftowanych, przyznać trzeba, każdej jest do twarzy. I pomimo, że wydawałoby się, że z końcem sezonu „szaleństwo lnu“ minie, panie w dalszym ciągu ubierają się w płócienne płaszczyki, kostjumiki i komplety, czując się w nich znakomicie. Zapewnie dlatego, że materjały lniane są dość grube, więc zabezpieczają od chłodu i dzięki właśnie temu, cieszą się powodzeniem nawet w ciepłe dni jesieni.

Wziąwszy to pod uwagę, podajemy dzisiaj jeszcze kilka pięknych modeli, do których możemy zastosować samodział, ozdobiony własnoręcznie kolorowym haftem.

Lato jeszcze nie minęło, a ciepłe dni jesieni zapasem, więc na uszycie takich kompletów jeszcze nie zapóźno.

Co słychać w polityce?

Najważniejszem zagadnieniem, które w ostatnich dniach trzyma w wzrastającem napięciu opinję polską, **jest niesłychany w swej niepoczytalności krok Gdańska,** który w odpowiedzi na słuszne zarządzenia polskiego ministra skarbu z dnia 18 lipca w sprawie clenia towarów przeznaczonych dla Polski i przechodzących przez terytorjum Wolnego Miasta, wyłącznie przez polskie urzędy celne, **otworzył granicę Wolnego Miasta dla bezcłowego przywozu z zagranicy.** Jest to krok już nietylko sprzeczny z wyraźnemi postanowieniami umów polsko-gdańskich między innemi z zawartą w atmosferze „przyjaźni niemiecko-polskiej" umową z dnia 6 sierpnia 1934 r., ale co więcej, jest to wyraźne **naruszenie podstaw Traktatu Wersalskiego,** pierwsza realna próba naruszenia go w dziedzinie politycznej, drogą stwarzania faktów dokonanych. Wyodrębnienie Gdańska z polskiego obszaru celnego jest próbą realizacji, ukutej w Berlinie koncepcji „anschlussu Gdańska z Rzeszą". O tem musimy pamiętać ustawicznie przy rozpatrywaniu obecnej fazy stosunków polsko-gdańskich. Niedawno, na tem miejscu pisaliśmy, że dalszy rozwój tych stosunków będzie kamieniem probierczym szczerości i trwałości porozumienia polsko-niemieckiego. Obecny zatarg z Gdańskiem wybiega daleko poza ramy stosunków między Polską i Wolnem Miastem i zahacza bezpośrednio o stosunki polsko-niemieckie.

W obecnej chwili rozgrywa się pierwsza faza zatargu polsko-niemieckiego

Trzeba tylko dobrze wczytać się w ton prasy niemieckiej, w kategorycznie stawiane tam pod naszym adresem żądania pójścia w stosunkach z Gdańskiem na ustępstwa, to jest na wyrzeczenie się naszych najistotniejszych praw, — bo tylko to w niemieckim języku dyplomatycznym nazywa się ustępstwami, — gdyż jak to daje do zrozumienia główny organ narodowych socjalistów, pismo o charakterze półurzędowym, **Niemcy są jakoby jedynym gwarantem naszego bezpieczeństwa.** W całej prasie niemieckiej, jak na komendę pojawiają się obecnie artykuły omawiające zagadnienie gdańskie pod kątem niemieckim, sprzecznym z najelementarniejszemi wymogami naszej racji stanu, na **najwrażliwszym punkcie naszej niepodległości przy ujściu Wisły,** o którym już Fryderyk II powiedział, że kto je ma w swem ręku, ten panuje nad Polską. Rozpoczęła się wielka gra o nasze najżywotniejsze interesy, **o niepodległość naszą.** Polska tej gry przegrać nie może.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 11. VIII. do 17. VIII. 1935 r.

Niedziela, dnia 11 sierpnia 1935 r.

8.30 Audycja poranna 9.20 Transmisja Uroczystości „Święta Gór" z Zakopanego 11.10 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego 12.03 W europejskiej dzielnicy Kairu W przerwie o godz. 13.00 — 13.20 — Teatr Wyobraźni nadaje fragment z komedji „Syn marnotrawny" 14.00 Muzyka salonowa w wyk. Ork. Marka Webera 15.00 Z braku paszy-kiszonki 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Utwory na ksylofon z towarzyszeniem orkiestry 15.45 Reportaż wiejski 16.00 Koncert solistów 16.45 O reportażu w literaturze 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Transmisja z Obozu Ligi Morskiej i Kolonjalnej nad Naroczą 18.15 „Trochę humoru" Dla grzecznych dzieci 18.30 Cała Polska śpiewa — transmisja z Zakopanego 18.45 Na granicy łotewskiej 19.25 Utwory wiolonczelowe w wykonaniu Caspara Cassado 19.50 W aucie policyjnem w Chicago 20.00 Transmisja fragmentu „Święta Gór z Zakopanego" 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 R. Schumanna Phantaisiestücke op. 88 21.30 Na wesołej lwowskiej fali (ze Lwowa) 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 Nasza Marynarka gra 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 12 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Schubert: Symfonja h-moll 15.30 Zespół Pawła Rynasa i Zygmunta Ledermana 16.00 Audycja dla dzieci p. t. „W co się będziemy bawili" 16.15 Recital fortepianowy Aleksandra Kagana 16.50 Mikronowele — Światopełka Karpińskiego 17.00 Muzyka salonowa 18.00 Fotografja i kino — odczyt 18.15 Cała Polska śpiewa — koncert 18.30 Skrzynka ogólna — koresp. bież. omówi dr. Marjan Stępowski 18.50 Chwilka społeczna 18.45 Gitary hawajskie 19.30 Wędrówka mikrofonu 19.50 Co czytać? 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Audycja słowno-muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert polskiej muzyki symfonicznej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Wtorek, dnia 13 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka wokalna w wyk. art. scen włoskich 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Orkiestra mandolinistów 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Utwory na klarnet w wyk. Józefa Madeji 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.50 Nastrojowe piosenki 16.50 Powietrzna eskapada — nowela Zdzisława Marynowskiego 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk „Trochę muzyki wiedenskiej" 18.00 Promienie kosmiczne — pogadanka 18.10 Minuta poezji Wiersz Feliksa Przysieckiego 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka techniczna 18.45 Muzyka 19.00 Dokąd jechać w święta 19.30 Utwory fortepianowe Ludomira Różyckiego w wyk. kompozytora 19.50 Pogadanka aktualna 20.10 Muzyka duńska 20.10 Muzyka dunska 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 „Piękny sen" — operetka Leo Falla: 22.00 E. Grieg: Sonata a-moll (wiolonczelowa) 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Mała Orkiestra P. R.

Środa, dnia 14 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Fragmenty z op. „Halka" St. Moniuszki 15.30 Muzyka 16.00 Wakacje bez wyjazdu 16.15 Koncert solistów 16.50 Codzienny odcinek prozy: „Ci ludzie" — fragment z powieści Heleny Boguszewskiej 17.00 Mała Orkiestra P. R. 18.00 Skecz pt. „Pani wraca z letniska" 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Opowiadanie przyrodnicze dla dzieci p. t. „Stańmy blisko ula" 18.50 Stare walce 19.30 Recital śpiewaczy Zofji Fabry 19.50 „Chleb" — reportaż z cyklu „Jak wieś żywi miasto" 20.10 Pogadanka rybacka 20.10 Na radjowej plaży — lekka audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego 21.30 Świat się śmieje 21.40 Recital śpiewaczy Józefa Wolińskiego 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. 23.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 15 sierpnia 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Muzyka operowa w wykonaniu znakomitych orkiestr Zagranicznych 10.30 Transmisja Nabożeństwa 12.03 Podróżujmy: Pochwała Helu — feljeton 12.20 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 Pogadanka dla młodzieży wiejskiej 15.10 Utwory charakterystyczne 15.22 Porady weterynaryjne 15.55 Żygmunt Pomarański 16.00 Pogadanka dla dzieci młodszych p. t. Dlaczego myjemy ręce — wygł. Stary Doktór 16.15 Orkiestra Reprezentacyjna Przysposobienia Wojskowego Dyrekcji Krakowskiej 16.50 Żygmunt Nowakowski — nowela 17.00 Co kto lubi 18.00 O książce Vowlesa „Człowiek i siły przyrody" 18.10 Minuta poezji: Wiersz Władysława Sebyły 18.15 Cała Polska śpiewa 18.45 Muzyka lekkka 19.30 Grzegorz Dinicu 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Sygnały wojskowe 20.30 Marsze wojskowe 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert symf. w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga, oraz Witelberga. oraz Wiktora Bregy 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Jak Sobieski z kowalichą tańcował 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 16 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka operetkowa 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Recital fortepianowy Haliny Kalmanowicz 16.00 Gospodarcze znaczenie badań życia wód słodkich — odczyt 16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.35 Pogadanka dla chorych 16.50 Opowiadanie Michała Choromańskiego 17.00 Miniatury kwartetowe w wykonaniu Kwartetu Warszawskiego 17.20 Reportaż muzyczny 18.00 Na terenach popowodziowych — reportaż wygł. płk. Tadeusz Tomaszewski 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka ogólna dr. Marjan Stępowski 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka Lekka 19.30 Recital śpiewaczy Wandy Kalenkiewicz 19.59 Aktualny monolog 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Jakie to było ładne 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert symfoniczny w wykonanin Orkiestry P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka salonowo-taneczna.

Sobota, dnia 17 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka wschodu 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Najprawdziwsze tanga — zespół tangowy pod dyr. Ignacego Stołowa 14.30 Nowości z płyt 15.15 Muzyka 15.25 Nasz handel morski 15.30 „U jagodowego króla" słuchowisko dla dzieci 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Recital wiolonczelowy Marjana Neuteicha 16.35 Pieśni w wykonaniu Sławy Bestani 16.50 Wywiad — humoreska K. Makuszyńskiego 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji wiersz Kazimierza Tetmajera 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw — omówi prof Henryk Mościcki 18.45 Muzyka lekka 19.30 Nasze pieśni w wyk. Berty Bragińskiej 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej 20.10 Mała Orkiestra P. R. 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polsk i21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Koncert w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. Olgierda Straszyńskiego 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Wesoła Syrena 22.30 Muzyka lekka.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ul. T. P.

A	A	A	A	A	A
A	E	E	E	E	E
E	E	E	I	I	I
J	J	L	L	L	M
N	N	R	R	R	S
S	S	T	T	W	Y

W podanym kwadracie tak poprzestawiać litery, aby otrzymać sześć imion żeńskich. Litery czytane w pierwszym rzędzie poziomo i pionowo powinny dać to samo imię.

BILETY WIZYTOWE

ul. W. Mataczyński z Łysinina.

R. Zosiak

Ł. Ryzman

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 16 sierpnia br.

Trafne rozwiązanie zadań z nr. 30 nadesłali pp.: Irena Walkowiakówna — Sieradz, Zofja Ilska — Grudziądz, Walery Kosiński — Lwów, Janusz Anuszak — Nieśwież, Zenon Górski — Kleck, Józefa Adamska — Poznań. Jan Turowski — Sadowie, Marja Stankówna — Łódź, Julja Zawidzka — Łódź, Roman Osiński — Konin, Wiesław Początek — Kalisz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Januszowi Anuszakowi z Nieświeża i Julji Zawidzkiej z Łodzi.

Czytajcie i rozpowszechniajcie „MOJE POWIEŚCI"

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

48)

„Ale jeżeli to prawda, — jeżeli rzeczywiście się wykaże, że między Alfredem Robberem a tą wspaniałą damą istnieje jakiś tajemny stosunek, — cóż potem?

„Potem", kończyło zielone domino swoje rozumowanie z lekkim, ale trochę ostrym śmiechem, „potem musiałbym się przedewszystkiem postarać, aby zapchać Robbera pod klucz i rygiel, aby tak co najmniej z dziesięć lat nie miał sposobności oglądać świata bożego. Musiałby krok swój opłacić utratą wolności, — ha, pocóż włazi mi na mój teren polowania i ściga mi zwierzynę, na którą ja już długo czyham."

Zielone domino opuściło salę i udało się do małego biura, w którem siedział gospodarz lokalu pod „czerwoną kotką" ślęcząc za pulpitem i sumując jakieś szeregi liczb.

Zielone domino, którego twarz była również maską zasłonięta, zerwało sobie teraz larwę z oblicza, — pokazała się głowa markiza Satanelli.

„Hola, jednooki", spytał z pośpiechem przystępując do gospodarza, „co to za dama, z którą przyszedł Alfred Robber i z którą tak zacięcie tańczy teraz?"

„Jakaś ładna, młoda kobieta, jak kocham sumienie", odpowiedział jednooki, poruszając ramionami, ale nazwiska jej nie znam. Alfred Robber nie głupi, żeby je wyjawił. Jeżeli się jednak nie mylę, musi to być jakaś osobliwsza dama, coś rarytnego, — ten rudowłosy zbój ma wielkie szczęście do kobiet".

„Czy wypożyczyła sobie swoją maskę dopiero tutaj, czy przywiozła już ze sobą?"

„Tutaj dopiero pożyczyła, — Alfred Robber wyniósł ją aż do powozu do niej, — i w zamkniętej dorożce zakryła sobie twarz maską, dopiero potem weszła na salę".

„Aha ,więc powozem tutaj zajechali, — zapewne najętym??"

„Tak jest, w dorożce, — ona stoi i tak przed drzwiami, — Alfred Robber rozkazał woźnicy, aby na niego zaczekał, o północy chce wracać tym samym powozem".

„To znakomite", zawołał markiz Satanelli, zrywając sobie z ubrania zielone domino.

„Jednooki", zawołał zwracając się do gospodarza, „żebyś mi się nie zdradził z tem, żem się dowiadywał o tę damę. Żeby Alfred Robber nie dowiedział się o tem! — Ani słowa, — rozumiesz, — rozkazuję ci".

„Będę milczał jak ryba", zapewnił go jednooki zwracając swój wzrok napowrót na papiery, podczas gdy Satanelli opuszczał z pośpiechem biuro.

We wąskiej uliczce, na którą wychodziła brama lokalu pod „czerwoną kotką" stało może ze dwadzieścia najemnych dorożek.

Jedni woźnicy siedzieli na koźle i spali, inni stali pod latarnią paląc i gwarząc, inni wreszcie, którzy nie chcieli tak długo na suchio czekać na gości porozsiadali się przy stołach małej karczemki, leżącej wskos naprzeciw lokalu pod „czerwoną kotką".

Pod latarnią stojący woźnicy byli właśnie zajęci ważną polityką. Debatowali nad tem, czy Francji lepiej się powodzi jako rzeczy pospolitej, czy też lepiej było pod rządami cesarskiemi. Jeden z nich, jakiś już siwowłosy staruszek z nosem czerwonym jak piwonja, wyłuszczał właśnie swoim kolegom, że o wiele lepiej było za panowania cesarskiego szczególniej dla dorókarzy, bo wówczas byłoby hańbą iść piechotą, więc wszystko, co tylko choć po części miało prawo do nazwy inteligenta jeździło powozami.

Właśnie zabrzmiał staremu w tej chwili nad uchem jakiś głos:

„Na słóweczko tylko, — czy to wyście niespełna przed godziną przyjechali z jednym eleganckim panem i ładną, młodą kobietą, którzy się kazali zawieść tutaj do lokalu pod „czerwoną kotką?"

Był to nasz znajomy markiz Satanelli, który rzucił to pytanie staremu woźnicy.

„Z eleganckim panem i z młodą, ładną kobietką?", odpowiedział stary wyjmując pomału fajkę z gęby; „nie, — to nie ja, to był Margelot, — widziałem go jak zajechał i jak ci państwo wysiadali!"

„A gdzie wasz kolega Margelot?"

„A tam na drugiej, pod złotym winogradem. Zaraz go pan pozna, bo ma na czole głęboką dziurę, którą mu jakiś przeklęty prusak zostawił na pamiątkę pod Weissenburgiem".

„Dobrze, dobrze, dziękuję wam", odrzekł Satanelli, zwracając się w tej chwili w kierunku wskazanej karczmy „Pod złotym winogradem".

Margelot, właściciel dorożki, siedział w małym pokoiku oberży przy pełnej szklance. Palił cygaro i gonił wzrokiem wypuszczony dym z ust.

„Jeżeli wy jesteście dorożkarzem Margelotem, to mam do was dosyć ważny interes", odezwał się Satanelli, przystępując do stołu. „Ale jak widzę pijecie nie najlepszy gatunek wina, hej, gosposiu, proszę o flaszkę szampana!"

„Hoho, jak widzę to pan się zaczynasz rzucać", zawołał Margelot. „Widocznie życzy sobie pan coś ważnego odemnie?"

„Niedługo przekonacie się, kochany Margelot, że ja również umiem rozkazywać jak i prosić", odrzekł Satanelli; „ale wolę zawsze z poczciwym Francuzem dojść do ładu po dobremu".

Gospodyni przyniosła szampana. Satanelli nalał obie lampki po brzegi i podnosząc swoją zawołał do właściciela dorożki:

„Niech żyje Francja, — niech żyje revanche, — precz z Prusakami, którzy nam tyle ran pozadawali!"

Blizna, która ciągnęła się przez całe czoło dorożkarza, zaczęła się barwić na czerwono, — jego wodniste oczy poczęły rzucać błyskawice.

„Panie", zawołał, „ktokolwiek pan jesteś, — te słowa robią cię moim przyjacielem, — Vivat revanche! — Ha, co jabym dał zato, żebym tak mógł znowu poigrać z tymi Prusakami, podusiłbym ich jak kurczęta, — głowy bym im poukręcał!"

— Ale, mój przyjacielu, nie myślmy teraz o nich, — chcę się was o coś spytać:

„Czy to wy przywieźliście przed godziną jednego eleganckiego pana i piękną, młodą damę tutaj do lokalu „pod czerwoną kotkę"?

„Hm, — niby, — tak niby było", odpowiedział Margelot, opierając się w tył poręczy krzesła i rzucając na markiza Satanelli niedowierzające spojrzenie. „Ale poco to się pan niby pyta, — ma pan prawo do tego?"

„Możliwe! — A gdzie ci państwo wsiedli do waszej dorożki?"

„Tego panu nie będę mówił, nie myślę dalszych wyjaśnień czynić", odpowiedział Margelot z decyzją i stanowczością w tonie, „mogę sobie przedstawić, kim pan jesteś. — Zapewne odepchnięty kochanek tej damy, albo jej mąż, a my paryscy dorożkarze odznaczamy się dyskrecją, — umiemy zamilczeć tajemnice, — wiemy przecież czego wymagą od nas honor naszego stanu, — widzimy bardzo wiele, słyszymy dosyć, ale nie zdradzamy niczego."

„Tak, nie chcecie mówić? — Ha, w takim razie muszę wam wyjaśnić, z kim macie do czynienia. — Jestem tajnym ajentem, — Edwin Lister moje nazwisko, — a tutaj jest karta wystawiona przez prefekta policji, według której przysługuje mi jak najzupełniejsze prawo stabilizowanego policyjnego ajenta."

Satanelli prędkim ruchem wyciągnął z kieszeni kartę i podsunął tuż pod nos woźnicy.

Więcej jednak jak ten dokument i pieczątka prefektury policji podziałał jego wzrok.

„Proszę wybaczyć" — zawołał Margelot, powstając z krzesła i robiąc niezgrabny ukłon, — „jeżeli tak rzeczy stoją, to naturalnie, że jestem obowiązany do wszelkich wyjaśnień, jakie pan ode mnie zażądasz. Proszę więc pytać, łaskawy panie."

„Z którego miejsca przywieźliście to państwo tutaj ,Pod czerwoną kotkę'?"

„Tuż u bramy ,Palais Royal' wsiedli do dorożki."

„Widzieliście, że ci państwo wyszli z tego pałacu?"

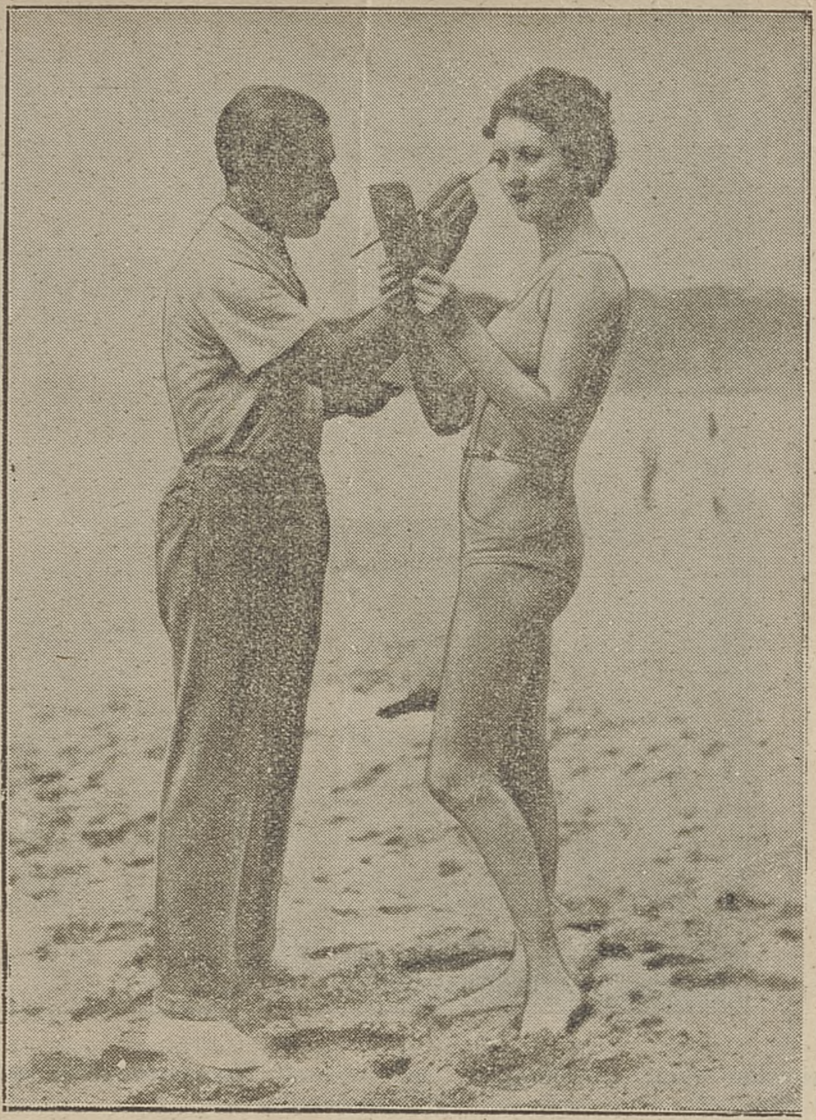
„Tak jest, mój panie, wyszli stamtąd, widocznie, że tam byli na kolacji, bo ta ładna dama wyglądała tak, jakby o jedną szklankę za dużo wypiła."

Mówiąc to, wskazał wielkim palcem na butelkę ze szampanem.

„Słyszeliście może rozmowę tych obojga, kiedy byli w powozie? — To przecież wiadome, że wy dorożkarze potraficie czasem każde słowo usłyszeć przez małe wycięcie w oknie z rozmowy, która się toczy w głębi waszej dorożki."

„To nawet bardzo potrzebne, panie ajencie", odpowiedział woźnica, „powóz to mój dom, muszę przecież wiedzieć, co tam w nim goście moi wyprawiają. — Słyszałem więc, że się obydwoje całowali, — potem, — potem słyszałem także, jak ta ładna pani zaklinała tego eleganta, wołając:

„Proszę cię nadewszystko, nie zapomnij i odwieź mnie o północy do domu".



Na modnych plażach francuskich panie chcące uniknąć opalenizny poddają się zabiegom wykonywanym przez specjalistów-kosmetyków.

„A jak ci państwo wysiedli z powozu pod lokalem ‚Pod czerwoną kotką‘," badał tajny ajent dalej, „rozkazali wam czekać na siebie, prawda?"

„Tak jest, ten pan oznajmił mi, że nie będę potrzebował dłużej na nich czekać jak do północy."

„Dobrze, przyjacielu, teraz posłuchajcie: Odstąpicie mi swego powozu do tej zamówionej jazdy o północy. Dacie mi swój płaszcz i kapelusz, poczem możecie spokojnie odejść do domu. Jutro rano będzie stał powóz przed drzwiami waszego mieszkania."

Woźnica rzucił się w tył ze strachu, co widząc Satanelli dodał:

„Ile cenicie swój powóz razem z końmi? No, ja myślę tak mniej więcej? — Dajmy na to, żebyście go sprzedali za trzy tysiące franków. Oto tutaj pieniądze w czekach bankowych, — obowiązujecie się jednak, jeżeli powóz swój nieuszkodzony otrzymacie jutro z rana, oddać te trzy tysiące franków, — naturalnie macie prawo odciągnąć sobie sto franków jako zapłatę za wynajęcie dorożki na dzisiejszą noc."

„Na to zgadzam się chętnie", zawołał Margelot, biorąc podawane mu pieniądze i zwijając starannie pojedyńcze czeki. „Interes załatwiony, pan ajet dostanie jeszcze ode mnie mój płaszcz i mój kapelusz, — proszę, a tu moja karta, na której wydrukowany adres mego mieszkania."

„Hm, czekajcie trochę, — płaszcz i kapelusz dacie mi dopiero na ulicy. Ja zaraz potem siądę na kozioł, aby wasi koledzy nie zauważyli przypadkiem, co za spisek uknuliśmy we dwójkę."

Obawa jednak markiza wydała się bezpodstawną, bo jak wyszli na ulicę, ujrzeli na niej pustki, wszystkie inne dorożki porozjeżdżały się już, jedynie tylko zamknięty kabrjolet Margelota stał przed bramą sali balowej.

Za chwilę owinął się Satanelli wielkim, obszernym płaszczem z peleryną, nałożył na głowę wylakierowany cylinder Margelota i wygramolił się na kozioł.

„A proszę uważać na konia", zawołał Margelot, „bo trochę bryka."

„Dobrze, dobrze, ja już dziksze konie miewałem w ręce, — idźcie już, — dobranoc!"

„Dobranoc, panu. — Ha, moja stara ucieszy się dzisiaj, jak mnie tak niespodzianie zobaczy w pokoju."

Temi słowami pożegnał markiza ucieszony Margelot i zniknął na zakręcie ulicy. Tej nocy zrobił paradny interes, — mógł być zadowolonym.

LXVIII.

Alfred Robber odchyla maskę

Pół godziny przed północą opuścił Alfred Robber razem z Lolą lokal „Pod czerwoną kotką."

Piękna, młoda niewiasta była zarumieniona jak róża pod wpływem szalonego tańca i wypitego obficie szampana, — wszystkie nerwy drżały w niej jeszcze rozkosznie, — parę tych godzin przeżytych w zepsuciu i grzechu oczarowały ją w zupełności.

Kto raz zakosztuje tej trucizny nie potrafi się od niej odzwyczaić. Lola piła pełnemi piersiami, bez myśli na przyszłość tę rozkosz, jaką jej sprawiał pobyt wśród ulicznic Paryża i zagadkowych typów, jakimi była otoczona na sali balowej „Pod czerwoną kotką."

Był to także czar zagadki, tajemniczości, ów dziwnie pociągający urok, widzieć się podziwianą od wszystkich, być najpiękniejszą, najwspanialszą, a przecież nieznaną.

Wszystkie jej lepsze strony, — wszystkie dobre postanowienia, jakie sobie może w ciągu ostatnich lat mocno powzięła i któremi wysłała sobie drogę przyszłości od chwili, kiedy została hrabianką Sokolską, — wszystkie te plany i pomysły, — gorące, niezłomne życzenie należeć do szeregu tych, którzy urodzeniem wychowaniem, wiedzą i szlachetnością zaliczają się w poczet arystokracji, — wszystko to, — wszystko rozprysło się nagle jak bańka mydlana, — zwaliło w gruzy niby wysoki pałac z kart postawiony, który lada powiew burzy do szczętu.

Wystarczyło już to samo, że Alfred Robber wspólnik jej pierwszych występków, jedyny tylko raz wszedł jej w drogę, — i oto Lola opuściła czemprędzej ścieżkę cnoty, — stała się tem, czem przyrzekała być pierwotnie, — piękną ulicznicą, — pełnym powabów upadłym aniołem.

Tak, upadłym! Bo dotychczas igrała tylko z ogniem! Do tej chwili, w której w małem przepierzeniu pałacu Royal złączyła się z Alfredem Robberem w grzesznej miłości znała występek więcej z imienia, odczuwała, tęskniła, — kochała go! — Ale teraz, — teraz on porwał ją w swoje szpony, — rzucił nią, — zdeptał, — wtłoczył jej swoje piętno na jej białe czoło. Jakkolwiek plamy tej nie można było jeszcze wprawdzie rozpoznać, — przecież nadejdzie czas, w którym wyjdzie na jaw, stanie się widoczną wszystkim tym, którzy nie dadzą się oszukać anielskimi rysami ładnego oblicza niewiasty, poza którymi ukrywa się często trupia czaszka hańby i grzechu.

„Tam stoi nasza dorożka", zawołał Alfred Robber wyszedłszy z Lolą na ulicę, — „hola, przyjacielu, podjedź no po nas".

Powóz począł się toczyć.

Alfred Robber otworzył drzwiczki, ramionami podniósł powabną towarzyszkę pomagając jej przy wsiadaniu.

„Dokąd?" spytał woźnica, zakryty wysokim kołnierzem płaszcza, który mu całą prawie twarz osłaniał.

Już miał Alfred Robber na ustach: Champs Elysees, pałac hrabiego Kazimierza Zamskiego, kiedy Lola ścisnąwszy go silnie za rękę zaszeptała mu do ucha:

„Na miłość bożą, nie do samego domu, tylko na początek Champs Elysees".

Alfred Robber zawiadomił woźnicę, żeby w pierwszej alei Champs Elysees stanął.

„To ona", wyszeptał Satanelli sam do siebie, zacinając konie, „dom hrabiego Zamskiego znajduje się na Champs Elysees, — to musi być Lola Zamska, ta sama, która dzisiaj w nocy, święciła tryumfy pod „Czerwoną kotką" przy boku Alfreda Robbera".

Ale całkiem pewnym tego nie był. Postanowił więc podstępny markiz posłużyć się tym samym środkiem, jakim posługują się wszyscy dorożkarze paryscy, postanowił podsłuchać rozmowę obojga przez wycięcie w oknie.

Konie puścił zwykłym biegiem, sam zaś skłonił ucho do przedniej tafli szklanej, która przedziela pasażera od woźnicy. Tak skulony mógł wszystko słyszeć co ci dwaj rozmawiali we wnętrzu powozu.

„Północ jeszcze nie wybiła, prawda?" zaszeptała śliczna kobieta, która częściej znajdowała się na kolanach Alfreda Robbera, w jego objęciach, jak na swojem miękkiem siedzeniu. „Ach, gdybyś ty wiedział, jak ja się boję, jakby on tak przypadkiem prędzej przyjechał do domu jak ja!"

„A chociażby i tak było", odpowiedział włamywacz, „czyż to nie jesteś rozumną kobietą, a nie wiesz, że rozumna żona potrafi zawsze męża swego wystrychnąć na dudka! Znajdzie się tysiące wymówek, tysiące środków, by go wyprowadzić w pole, — tysiące historji, które mu możesz opowiedzieć na uniewinnienie swej dłuższej nieobecności w domu. Powiedz mu, żeś się zapóźniła u swojej przyjaciółki,

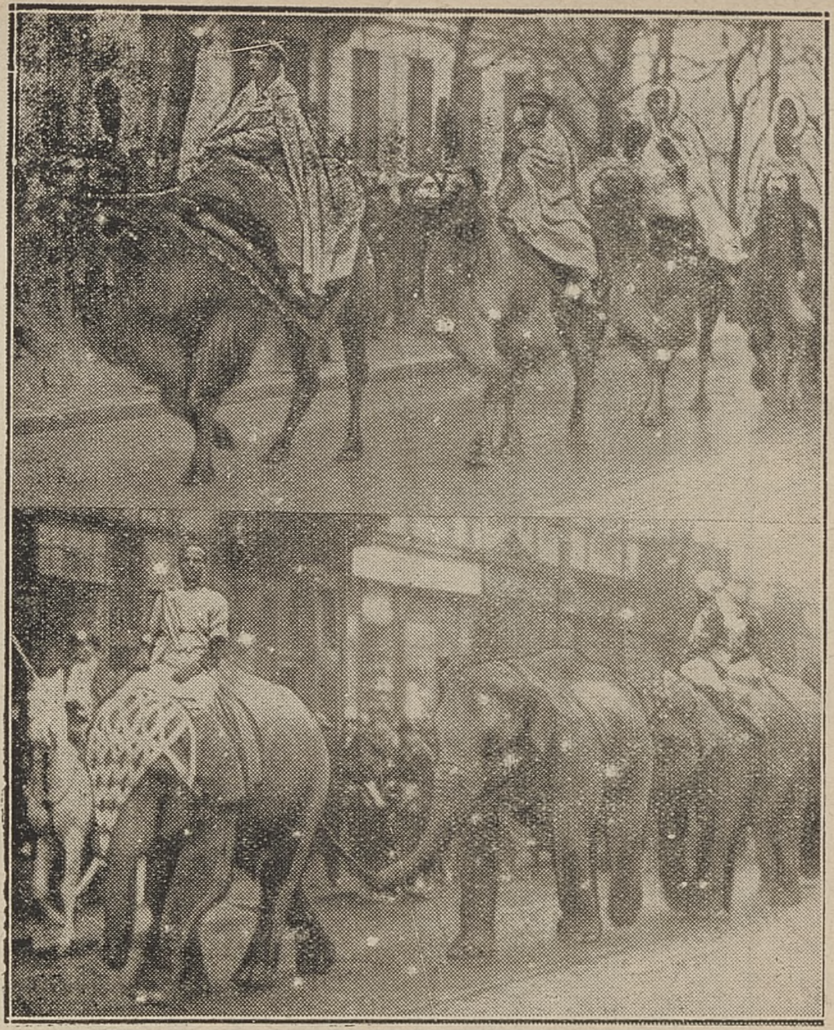
„Zresztą łzy z pięknych oczu kobiety zmiękczą i najtwardszego, pokonają i przekonają, — płacz więc, — rzuć mu się na piersi, przyciśnij go do siebie".

„Przycisnąć do siebie!" zamruczała Lola tak słabym głosem, że nawet Alfred Robber jej nie słyszał, „ja mam go przycisnąć do siebie, — ha, przecież on ucieka przedemną, — odpycha mnie!

„Zresztą nie potrzebuję się tyle troszczyć!" zwróciła się piękna Lola głośniejszym tonem do swego towarzysza, „bo chociażby nawet naprawdę przybył mój mąż do domu wcześniej odemnie, pójdzie zapewne natychmiast do swego pokoju, nie będzie się nawet dopytywał służby o mnie, czy już śpię, — czym w łóżku".

„Ha, tak stoją sprawy?" zawołał Robber. „Żyjecie więc w separacji? — Haha, myślałem sobie, że tak jest! No, to tem lepiej, nie będzie ci twój małożnek w niczem przeszkadzał, będziesz mogła śmiało schodzić się ze mną częściej!"

„Nie, nie, — to nie śmie się więcej stać, Alfredzie!" zawołała Lola drżącym głosem. „Ja proszę cię, błagam, zaklinam cię nie przekraczaj nigdy progu mego domu, — nie pisuj do mnie, — nie donoś mi, gdzie się znajdujesz! — O! ty jesteś mi niebezpieczniejszym od wszystkich innych, przy tobie doznaję jakiegoś nieznanego uczucia, — pragnienia wolności, szalonych przygód, rozpasanego życia jakie wiodłam w dawniejszych czasach!"



Karawana słoni i wielbłądów na ulicach Warszawy przed występami w Cyrku Staniewskich.

„No, to uczyń zadość temu pragnieniu! Można być przecież awanturnicą pomimo, że się jest hrabiną!"

„Ja niechcę nią jednak być!" — wyrzekła z trudem Lola drżącemi wargami. „Słyszysz, Alfredzie, ja nie chcę, żebyś ty mnie powtórnie wprowadził w kałużę!"

„A dzisiejszej nocy?" — rzucił Robber z drwinami.

„Dzisiejszej nocy? Och, co się stało, to się nie odstanie, — uczyniłam coś, co mnie teraz gryzie, — czego żałuję! Oddałam ci się, Alfredzie, — ale ja byłam pijana, — szalona! O, Alfredzie, przysięgnij mi, że dochowasz naszej tajemnicy, jeżeli choć iskra honoru mieszka w twojej piersi męskiej, to przyrzeczesz mi święcie, że o tem, co dzisiejszej nocy się zdarzyło między nami, nikomu ani słowa nie wyjawisz!"

Alfred Robber milczał. Zagryzł z gniewem wargi, — Lola widziała jak mu się w cieniach nocy świecą dziko oczy.

„Musiałbym być chyba wierutnym błaznem!" wykrztusił nagle jakimś dziwnym, ostrym tonem, zupełnie innym jak przemawiał poprzednio; — wyrzucał pojedyńcze słowa ze siebie gwałtownie niby wezuwjusz palącą lawinę. „Czy ty myślisz, piękna Lolu, że ja tylko dlatego porwałem cię w moje objęcia, całowałem twoje słodkie usteczka, aby ci uprzyjemnić chociaż jedną godzinę, aby ci dopomóc do tajemnej awanturki? O nie, pani hrabino, my mamy jeszcze z poprzednich czasów niewyrównane konto między sobą! Musimy się jeszcze policzyć ze sobą i to straszliwie policzyć, — Alfred Robber nie zwykł zapominać ani jednego pogardliwego kopnięcia nogą!"

„Alfredzie! Alfredzie!" zawołała przerażona Lola, chcąc zeskoczyć ze siedzenia i powstać, — ale w tej samej chwili złapał ją rudowłosy złoczyńca swoją silną ręką.

„Cicho! Słuchaj, co ci mam powiedzieć!" zaszeptał jej do ucha straszliwym głosem.

Piękna hrabina Zamska drżała ze strachu jak liść osiki, — widziała przecież w dziko połyskujących oczach mężczyzny, z którym sam na sam siedziała w toczącym się powozie jakąś okropną groźbę, — ha, ten wyraz oczu jego w tej chwili był taki sam jak wówczas, kiedy ze zimną krwią uwiadomił ją, że przywiózł dla Elzy Rodeń zamiast zbawczego lekarstwa, — pełną flaszeczkę zabijającej trucizny.

Alfred Robber przysunął się do niej całkiem blisko. W ciemności widziała wyłaniające się jego blade oblicze, — widziała jak włożył rękę do bocznej kieszeni swego surduta, — w następnym momencie wydała okrzyk przerażenia ze siebie, — w ręku opryszka zabłysła stal sztyletu.

„Nie bój się!" zaśmiał się Alfred Robber drwiąco, „nie rozchodzi się o twoje życie, — niemam wcale zamiaru zamordować cię, naturalnie pod warunkiem, ze zgodzisz się na wszystkie moje propozycje, jakie ci postawię: Ale pokazuję ci ten sztylet, — bo to twój stary,



Dwa typy starych Huculów - przyjaciel podczas serdecznej, niedzielnej pogawędki

znajomy, piękna Lolu. Może przypominasz sobie jeszcze tę chwilę, kiedyś mi przysięgła na ostrze tej stali, że nigdy, nigdy nie oddasz się żadnemu innemu mężczyźnie, tylko mnie, że do mnie tylko należeć będziesz, — ja będę tylko twoim ukochanym, — ja, Alfred Robber, — który wprowadziłem cię w świat, — który byłem ci dobrym wówczas, kiedy nie znałaś jeszcze hrabiów i innych arystokratów, — kiedyś jeszcze nie wiedziała o bogatym spadku, — nie znała życia w przepychu i zbytku! — He, — przypominasz sobie jeszcze to żelazo?!"

„Przypominam", zabrzmiało z ust Loli jak słabe tchnienie.

W tej chwili przeniosła ją fantazja do sali pod „Zieloną papugą", widziała w duchu siebie samą jak przykładając palce na ostrze powtarzała słowa strasznej przysięgi.

„Nie dotrzymałaś uroczystej obietnicy!" mówił Robber dalej z szyderstwem. „Naturalnie, kiedy kobieta przysięga, przysięga już z tym zamiarem, aby przy pierwszej lepszej sposobności złamać, zniweczyć zaporę! — Cicho, daj mi się wygadać, milczałem przecież dosyć długo. Stałaś się bogatą, znamienitą, szczęśliwą, — a ja, — ja kochałem cię tak gorąco tak szczerze, że pomimo niebezpieczeństwa, że lada chwila mogą mnie odkryć, przyjąłem w zamku rolę niskiego, nędznego najemnika, wziąłem na siebie obowiązki, które wcale mi zaszczytu nie przynosiły. Ale jak zobaczyłem ciebie, — usłyszałem twój głos, czułem się wynagrodzonym za wszystko, — upokorzyłem się, czyściłem moje konie dalej. — Ba, uczyniłem jeszcze coś więcej dla ciebie. Nie zawahałem się wepchnąć ten oto sztylet w piersi tej, która odkryła pewnego wieczora twoją tajemnicę. W tej samej chwili, kiedy stała ci się niebezpieczną ta blondynka, Elza Rodeń, została przezemnie zasztyletowaną! Czyż nie zasłużyłem tem samem na twoją wdzięczność? Czyż to samo nie powinno było umocnić, ustalić twoją wierność ku mnie? — Odpowiedz, — żądam od ciebie potwierdzenia!"

„Ja nie zapomniałam tej przysługi, jakąś mi wówczas wyświadczył!" odrzekła Lola, podnosząc drżące ręce ku piersi, jakby się broniąc.

Widocznie nie wierzyła swemu wspólnikowi, zdawało jej się, że Alfred pomimo przyrzeczenia, że nie myśli jej zabijać, rzuci się na nią i wepchnie jej połyskujące żelazo w serce.

„Ha, byłaś mi wdzięczną, — bardzo wdzięczną!" ciągnął Robber dalej z szatańską złośliwością i drwinami. „Aniś palcem nie ruszyła, aby przeszkodzić mojemu zdemaskowaniu, — doprawdy, że dzisiaj biegam wolny po Paryżu, nie siedzę w ciemnem więzieniu, to mogę tylko zawdzięczyć swojej prędkiej ucieczce, — nagłości, z jaką opuściłem wówczas zamek. Ale wszystko to przebaczyłem ci. Wytłumaczyłem sobie, że nie mogłaś własnego szczęścia kłaść na wagę, bo, do licha, każdy z nas jest przecie egoistycznem stworzeniem, — ja również nie robię pod tym względem wyjątku. — I dlatego, że zrobiłem dla ciebie, Lolu, tę ofiarę, dla ciebie niewierna kobieto, — że byłem w stanie dziesięć razy ubroczyć ręce we krwi twoich nieprzyjaciół, — że byłem zdolnym na wszystkie ofiary dla ciebie, — musiałem uciekać, — straciłem cię z oczu. — Wreszcie, — jednego dnia przypadkiem odwiaduję się, że ty z tym samym, którego za ojca sobie przybrałaś i przed którym tak znakomicie grałaś komedję, że ten stary niedołęga dał sobie oczy zamydlić i uwierzył ci; — słyszę, że ty z hrabią Zygmuntem Sokolskim przebywasz w Paryżu. Ale to jeszcze nie wszystko. Pewnego pięknego poranku pijąc kawę, wyczytuję w gazecie czarno na białem, że tyś mnie oszukała, — czytam anons, że zamierzasz pojąć hrabiego Kazimierza Zamskiego za małżonka, że w dniu tym, a tym odbędzie się twój ślub z młodym arystokratą w kościele Notredame!"

„Mnie zmusili do tego kroku, musiałam mu oddać rękę!" zawołała Lola, która odzyskawszy nieco przytomności umysłu starała się złagodzić Robbera kłamliwymi wykrętami.

„Zmusili cię? — To kłamstwo, — Kazimierz Zamski kochał inną! — Tyś sama zmusiła młodego hrabiego, aby ci podał swą rękę! — Haha, — ja wiem o wszystkiem i przestrzegam cię, byś mnie w przyszłości nie okłamywała!"

Lola przymknęła oczy; teraz zdawało się jej, że jest stracona! — Że też ta straszna jazda nie miała końca? Dlaczego woźnica jechał przez same ciemne puste ulice, — dlaczego nie skierował koni na jeden z rzęsiście oświeconych bulwarów? Tam można było i o północy spotkać ludzi, — setki i tysiące spacerowały jeszcze po brukach miejskich. Tam mogłaby uciec, — mogłaby szarpnąć za drzwiczki i wyskoczyć z powozu! Ale tutaj, — powóz znowu potoczył się w jakąś w najgłębszych cieniach pogrążoną uliczkę, — wszystko składało się opacznie, — bez ratunku była wydaną w ręce Alfreda Robbera!

„A teraz posłuchaj, czego ja żądam od ciebie", zawołał Alfred Robber po dłuższej pauzie, „czego się domagam w zamian za to, żem ci darował życie. Będziesz moją, — do mnie będziesz należeć, nie do tego, któregoś poślubiła. — Ilę razy cię zawołam masz się zjawić przedemną bez względu na to, czy to będzie we dnie lub w nocy. Musisz zawsze mieć na pogotowiu jakąś wymówkę, jakiś podstęp, którym wymkniesz się z domu. Oprócz tego podzielisz się twojemi bogactwami ze mną, — ja potrzebuję pieniędzy, ty musisz mi ich dostarczyć. — W tej chwili chciałbym koniecznie rozporządzać kwotą, conajmniej 300.000 franków, bo zamierzam się tu w Paryżu wspaniale urządzić, a to kosztuje wiele pieniędzy, — bardzo wiele, — o tem wiesz. Policja szuka za mną, — w tej chwili wpadli już może na mój trop. — Kto to wie, — Alfred Robber nie zdołałby się przez dłuższy czas ukryć przed tymi gończymi psami. Ale ja przyjmę tytuł markiza, — będę grał rolę urodzonego arystokraty, najmę dom na Foburg Saint Germain. Wówczas dopiero będę pewnym, że policja mnie nie odkryje, bo ona szuka za swoimi ludźmi tylko po najgorszych spelunkach, zbójeckich budach, po miejscach nędzy i ubóstwa. Tych, którzy przejeżdżają we wspaniałych karocach koło nich, na tych nie patrzą, — tych nie podejrzywają. — Jak koła mego powozu bryzną jednemu z tych psów gończych błotem w twarz, ha — zapewne skurczy się we dwoje i skłoni się nisko, nie przypuszczając nawet tego, że to ów osławiony Alfred

Robber przejechał właśnie w swoim powozie tuż koło niego z drwiącym uśmiechem na ustach.

„Słyszysz więc, moja piękna Lolu", zaśmiał się rozbawiony bandyta, potrzebuję na mój pałac, który zamierzam wynająć, — na meble, któremi ubiorę sobie mieszkanko, — na służących, — powóz i konie, — no, i odpowiednie życie jakie chcę rozpocząć co najmniej 300.000 franków, — to znaczy tymczasowo, — bo na dłuższy czas nie wystarczy ta bagatela. Potem postarasz się o większą kwotę. Ale te 300.000 franków muszę mieć i to już jutro, — ty, — ty musisz mi je przynieść!"

„To niemożliwe!" jęknęła Lola.

„Dlaczego by nie miało być możliwem? Wszystko musi być dla ciebie możliwem co ja ci rozkażę. Chcesz mi może powiedzieć, że sama nie rozporządzasz tak wysoką kwotą, — ha, w takim razie musisz wziąść od twego małżonka pod jakimkolwiek pozorem. To przecież nie tak trudne".

„Ale ja się nie mogę zwracać do Kazimierza", zawołała Lola, „bo, — bo", — głos uwiązł jej w gardle, zamienił się w głuchy, drżący szept, — „bo ja jeszcze go nigdy o nic nie prosiłam. Sama zaś prowadziłam rozrzutne życie, które wyczerpało znacznie jego kasę. Nie, nie, — musiałabym się przed nim upokorzyć, — musiałabym zjawić się przed jego obliczem w roli proszącej, — tego nie uczynię, — nie, tego nie mogę i nie chcę robić!"

„Upokorzysz się przed nim!" rozkazał Robber, jego oczy poczęły znowu rzucać straszne błyskawice w ciemności, „przyniesiesz mi zażądane 300.000 franków albo — jutro wieczór dowie się twój pan małżonek, że nie ożenił się z hrabianką Sokolską, tylko ze zwykłą dziewczyną uliczną, — nierządnicą z pod „Zielonej papugi"!

„Boże miłosierny, — ja jestem zgubiona!" wyjęknęła Lola, ściskając twarz rękami, „wpadłam w moc szatana!"

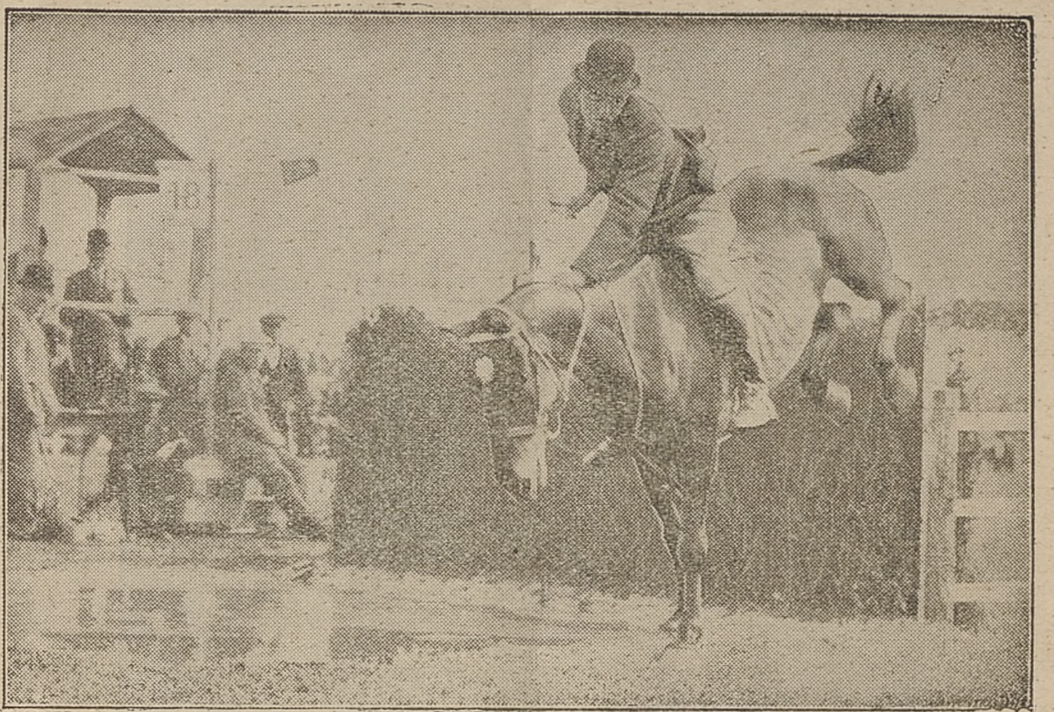
„Tak, — potrafię być szatanem, moja droga, jeżeli nie zechcesz tańczyć tak jak ci zaświstam. I wierzaj, — płomienie mego piekła zniszczą cię, — z twojego przepychu i zbytku jaki cię teraz otacza nic nie zostanie, — ani okruszyny!"

Klasnął rękami wypowiadając ostatnie słowa i zaśmiał się przeraźliwie śmiechem pełnym szyderstwa.

„Może życzysz sobie", mówił drwiąco, „bym wtajemniczył twego męża w to, co zaszło dzisiaj między nami w „Palais Royal"? Mam pokazać mu ten gabinet, w którym oddałaś mi się zupełnie? Sądzisz, że nas nikt nie widział? — Przecież obsługujący nas kelnerzy poznają cię z całą łatwością, — a oprócz tego posiadam pewien dowód, który sam jeden potrafi rozwiać wszelkie wątpliwości, — lecz o tem pomówimy dopiero wtedy, gdybyś chciała stawiać mi opór!"

„Niestety nie mogę zadość uczynić twojemu żądaniu", — odparła Lola złamanym głosem, — „Kazimierz bowiem nie będzie w stanie, wręczyć mi już jutro te 300.000 franków".

„Więc może ojciec, miljoner, — hrabia Sokolski spełni prośbę swego dziecka. — Zanadto kocha on swą po-



Na zawodach w Szkocji, jeden z fotografów, pochwycił ten oto wesoły obrazek. Mimo wysiłków jeźdźca koń biorąc dosyć trudną, złożoną przeszkodę, zatrzymał się w połowie drogi, stanąwszy nad samym brzegiem wody. Gdyby nie przytomność jeźdźca byłby się skąpał.

wabną córkę, tę małą oszustkę władającą jego sercem i noszącą jego nazwisko, by potrafił patrzeć na jej załzawione oczka. — Haha, doprawdy, chciałbym widzieć minę tego poczciwego hrabiego, gdy pewnego dnia otrzyma liścik z tego rodzaju treścią: Ta, którą uważasz za swoją córkę, — ukradła nazwisko innej, innej, która —"

„Jesteśmy u celu", zawołał woźnica, „zechce pan wysiąść?"

„Czekaj", rozkazał Alfred Robber, i zwróciwszy się ku Loli, ujął jej rękę, przyciągnął ją ku sobie i wpijając swe przenikliwe źrenice w jej oczy, szeptał:

„Wysiądź tutaj, moja gołąbko, za parę minut znajdziesz się w pałacu Zamskich. Pamiętaj jednak, że jutro o siódmej wieczorem oczekuję cię na tem samem miejscu przed „Café Anglais", na które nas dzisiaj los sprowadził. — Jutro przyniesiesz mi 300.000 franków w nowych banknotach, — poczem pójdziemy na kolację do gabinetu, gdzie obsypię cię gorącymi pocałunkami, z wdzięczności, żeś spełniła moje życzenie".

Jeszcze raz przycisnął ją do siebie, — kładąc oszałamiający pocałunek na jej usta, — lecz dotknięcie tych warg nie sprawiło jej uczucia rozkoszy, przeciwnie napełniło ją wstrętem i odrazą.

Lola poznała bowiem całą przewrotność tego człowieka, wiedząc że była tylko piłką w tych rękach, które chciały zrobić ją niewolnicą i źródłem złota.

Drżąc na całem ciele, odsunęła się od niego.

„Więc przyjdziesz?" zapytał ją powtórnie.

„Tak"! odparła z trwogą.

Otworzywszy drzwi powozu, ujęła suknie w rękę i wyskoczyła, jakby chciała uciekać przed piekłem, będącem za jej plecami, i przed drwiąco śmiejącym się djabłem Alfredem Robberem.

Z miejsca, na którem się powóz zatrzymał, w rzeczywistości nie miała więcej jak pięć minut drogi do swojego domu. Lola nie miała jednak odwagi udać się do mieszkania, — błądziła więc po chodnikach Pól Elizejskich bez celu, — a fala myśli uderzająca o jej mózg, była tak olbrzymia, że zdało się jej iż utonie w niej, niby w burzliwem morzu.

Jakże nisko upadła, do czego doprowadziła ją chęć zemsty?

Kochając jednego tylko, oddała się przecież takiemu Alfredowi Robberowi. Ona, której myśli i wszystkie uczucia należały do jednego mężczyzny, nie zawahała się jednak obdarzyć swoją najdroższą i najświętszą rzeczą łotra i zbrodniarza pragnącego tylko wyzyskać jej fałszywy krok i jej gotowość.

Łzy wstydu i skruchy wypełniły oczy Loli cieknąc strumieniem po jej licach.

Ogarnęła ją dzika rozpacz; zdawało się jej, że musi umrzeć. Po raz drugi przeżywała w duchu straszne zdarzenia ostatniej nocy, przeklinając chwilę, w której zobaczyła Alfreda Robbera w „Café Anglais".

Przeklęty los musiał sprowadzić na jej drogę tego człowieka. Ślepą była biorąc umizgi i czułości Robbera za prawdziwą miłość, podczas gdy szubrawiec ten czekał tylko na sposobność, by wymóc na niej pieniądze. Cóż pozostawało jej innego, jak zadowolnić teraz jego życzenie?

Czyż nie powiedział jej: musisz być posłuszną mojej woli, jeżeli nie chcesz zginąć w płomieniach piekielnych! — Niestety nie mogła mu odmówić.

Gdy zawoła na nią, będzie się czołgać do jego stóp jak podłe zwierzę, — a gdy zażąda pieniędzy, to musi mu je dać, chociażby miała zostać złodziejką. Alfred Robber był tak nienasycony. Dzisiaj żądał 300.000 franków, jutro będzie może chciał miljon. Nie chcąc się upo-

korzyć przed Kazimierzem, musi zwrócić się do swego ojca. Nigdy nie zazna już spokojnej i wesołej chwili, ciągle bowiem będzie musiała zaspakajać tego człowieka pragnącego pieniędzy i uścisków miłosnych.

„I to ma być moim tryumfem, który dzisiaj odniosłam!“ zawołała z rozpaczą Lola, opierając się o pień drzewa. „Oddając się drugiemu, sądziłam, że się zemszczę na Kazimierzu. Tymczasem jak srogo ukarał mię los. Zaprzedałam się upiorowi, który najpierw wyssie całą moją krew, później zaś strąci mię w przepaść, gdy nie będę miała żadnego więcej dla niego znaczenia. Alfred Robber nie zapomni nigdy, żem złamała przysięgę wierności.

„Czuję, że mię skuł żelaznym łańcuchem, muszę więc to robić, co zechce, chociażby mię smagał rózgami. A gdy wszystko się skończy, — wtedy pogardzi mną Kazimierz, — wtedy hrabia Zygmunt napiętnuje mię słusznie mianem podłej kobiety.

„Może otworzą się wówczas przede mną bramy więzienne, — i to błyszczące życie przejdzie we fazę nędzy i rozpaczy. — O gdybym tak miała siłę zakończyć moje życi. Tymczasem muszę żyć i pędzić tę złamaną egzystencję, dopóki podobać się będzie Alfredowi. — Jak nisko upadłaś piękna Lolu. Mąż, którego kochasz, będzie gardzić tobą, sama zaś staniesz się niewolnicą tego, którego nienawidzisz i przeklinasz!“

Siły poczęły ją opuszczać, — nie mogła nawet myśleć. Blada, znużona, z zapadniętą twarzą, rozwianym włosem, wlokła się powoli do domu.

Im bliżej była, tem bardziej ogarniała ją trwoga przed Kazimierzem. — Czy powrócił już z przyjęcia u niemieckiego posła? —

Ze drżeniem spoglądała na okna jego pokoju.

Dzięki Bogu, — nie był jeszcze w domu, — okna były ciemne spowite całunem nocy. Kazimierz spał już, albo bawił jeszcze w poselstwie.

Dużą było to dla niej pociechą, że nie będzie musiała go dzisiaj pozdrowić. W tym strasznym, rozpaczliwym stanie duszy, wyznałaby może wszystko Kazimierzowi. Wszystko, — tylko to nie, — za żadną cenę!

Nie powinien nigdy się dowiedzieć o tej hańbie, którą zmazała jego nazwisko! Raczej będzie kraść, oszukiwać i fałszować dla Robbera, byle tylko Kazimierz nie dowiedział się, że została kochanką zbrodniarza.

Teraz gardzi już nią, — a cóżby to dopiero było, gdyby powziął wiadomość o jej występnym kroku!

Shańbiła przecież nietylko siebie samą, lecz i nazwisko, które nosiła, nazwisko uosobiające w wzniosły i szlachetny sposób postać Kazimierza.

Lola minęła główne wejście, idąc dokoła budynku. Ostrożnie przeszła ogród i otwarła małe drzwi, prowadzące do pałacu.

Serce biło jej jak młotem, — nie miała nawet odwagi oddychać przesuwając się przez komnaty pełne zbytkownego urządzenia. Wolno szła naprzód, by nie zawadzić o jakiś przedmiot, a tem samem nie stać się przyczyną szmeru lub łoskotu.

Nie chciała bowiem, by Kazimierz lub jeden z lokai dowiedział się, że pani domu wróciła po północy.

Obawiała się także spotkania ze swoją pokojówką Celestyną, która czekała może na powrót pani.

Wstępując do małego gabinetu, będącego rodzajem przedpokoju buduaru, — stanęła nagle osłupiała, zobaczywszy, w skąpych blaskach światła księżyca, przedostającego się przez spuszczone żaluzje, postać Celestyny, spoczywającą na fotelu. — Piękne czerwonowłose dziewczę zasnęło, — prawdopodobnie wbrew własnej woli; chciała widocznie czekać na swoją panią.

Dziwne, — Lola w tej chwili zauważyła dopiero całą piękność swojej pokojówki. Doprawdy, każdy musiał patrzeć z podziwem na tę cudnie wyrzeźbioną twarz, — na te wspaniałe jedwabiste włosy, zdobiące wdzięczną i bujną postać Celestyny.

Lola chciała przesunąć się cicho na palcach, nie chcąc budzić śpiącej. Bez najmniejszego szmeru pragnęła dostać się do swojej sypialni, byle tylko piękna pokojówka nie dowiedziała się o jej powrocie. Lecz w tej samej chwili, — gdy znalazła się obok Celestyny, — stanęła nagle jakby rażona piorunem, — i szeroko rozwartem okiem spoglądała na śpiące dziewczę.

Pokojówka mówiła we śnie. Słowa obijające się o uszy Loli, wstrząsnęły jej całą śliczną postacią. Występna kobieta drżała jak liść, nie mogąc się ruszyć z miejsca.

Tymczasem zmieniła się nagle twarz Celestyny, wyraz trwogi i wstrętu musnął jej blade oblicze, a usta szeptały:

„Nie, nigdy, — nie powrócę, — precz, — ja nie chcę być razem z ulicznicami z pod „Czerwonej kotki“, — nie.“

Lola stała przerażona, jakby usłyszała nagle swój wyrok.

„Za żadną cenę nie chcę tam wrócić“, mówiła z przerażeniem śpiąca, — podczas gdy ona, chlebodawczyni tej dziewczyny, ona hrabina Zamska, — wracała właśnie z tego okrzyczanego lokalu pod „Czerwoną kotką“.

Sparta na ramieniu nędznika, tańczyła tam wdychając w siebie zatrutą atmosferę pełną potu ludzkiego, dymu i lubieżnych namiętności.

„Więc ona zna także ów lokal pod „Czerwoną kotką“, szeptała Lola, — „piękna Celestyna odwiedzała także to miejsce wyuzdania! — Lecz dziwne, — wszak detektyw Lister sprowadził ją do mnie na służbę.“

Lola postanowiła, trzymać się z rezerwą wobec swojej pokojówki i nie okazywać jej więcej takiego zaufania. Dziewczyna, znająca „Czerwoną kotkę“, może jeszcze stać się niebezpieczną.

Z okiem zwróconem na Celestynę, cicho, bez najmniejszego szmeru, posuwała się ku drzwiom sypialni.

Otwierając je, przeraziła się mocno, zawiasy bowiem nagle skrzypnęły.

W następnej sekundzie przekroczyła próg, lecz w tej samej chwili cofnęła się gwałtownie wstecz, — na środku sypialni, w słabem blasku nocnej lampy — stał — jej mąż!

LXIX.

Zapóźno

„Lolu — Lolu — gdzie byłaś?“

Kazimierz pytał już trzeci raz, zanim piękna, występna kobieta o tyle przyszła do siebie, że zdołała mówić. Gdyby Kazimierz był lepszym znawcą ludzi, albo gdyby nie posiadał takiego szlachetnego serca, niezdolnego do posądzania kogoś o podłość lub występek, to wyczytałby był z pewnością z czoła Loli całą prawdę. Już z jej zmienionych rysów, z jej drżenia można było odkryć, że zaszło coś nadzwyczajnego.

„Lolu, — gdzie byłaś?“ pytał Kazimierz, a głos jego nie zawierał ani jednego tonu zarzutu, — nie oskarżał jej wcale, — ani cienia podejrzenia nie było w tem pytaniu.

Pierś Loli falowała gwałtownie. Zapięła płaszcz, jakby pod wpływem zimna, — ręce jej zaś drżały jak we febrze. Wolnym krokiem postąpiła ku Kazimierzowi, lecz w tej samej chwili objęła ją taka niemoc, że zmuszoną była oprzeć się głową o drzwi.

„Jesteś chorą, Lolu?“ zawołał Kazimierz i przyskoczył nagle by ją wesprzeć, „tak musisz być słabą, — nigdy nie widziałem cię taką bladą! — Jak nienaturalnie błyszczą twoje oczy! — Chodź, połóż się na sofie, — weź mię za rękę, podprowadzę cię.“

Dreszcz zimny przebiegł piękne ciało grzesznicy. Od czasu ślubu, nigdy nie mówił Kazimierz do niej w tak łagodnym tonie, nigdy jeszcze nie okazał jej tyle współczucia i zainteresowania się.

Jak często zjawiała się przed nim blada i znużona po bolesnej i bezsennej nocy. Sądziła, że przecież wyczyta z jej twarzy łzy i boleść. Niestety Kazimierz był niemy jak głaz, ani jednem słowem nie zapytał jej nigdy o przyczynę bladości. A dzisiaj, — właśnie dzisiaj, gdy nie była godną dotknąć jego ręki, skalawszy i podeptawszy jego nazwisko, — właśnie dzisiaj patrzył na nią tak dobrotliwie i z takiem współczuciem. O, — wczoraj jeszcze, — przed kilku godzinami jakby ją uszczęśliwiło to współczucie, bijące z jego oczu, to dotknięcie ręki prowadzącej ją ku sofie, — teraz jednak zdało jej się, że ręce te muszą ją zadławić.

Zbliżywszy się ku sofie, upadła na nią z głuchym okrzykiem.

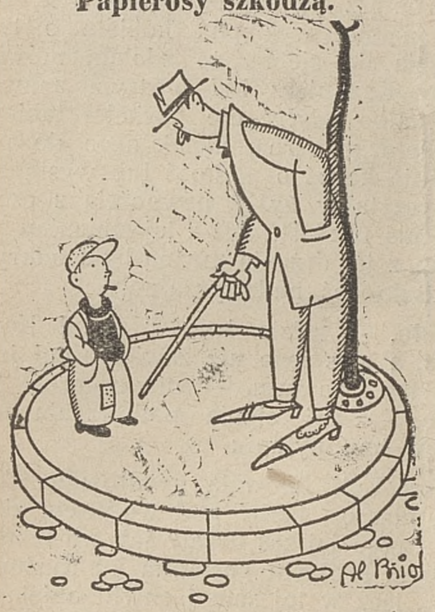
„Droga Lolu“, zawołał troskliwie Kazimierz, siadając obok niej, „wyjaśnij mi tę zagadkę. — Już jest po północy, gdzie byłaś tak długo? Prawdopodobnie zaszło coś z tobą, czego nie mogę sobie wytłumaczyć. Ufaj mi, — powiedz mi wszystko, — słyszysz, Lolu, wszystko, — ja muszę się dowiedzieć!“

Głos jego był wprawdzie coraz bardziej natarczywy, lecz była w nim pomimo tego cicha prośba, — a nie wyrzut lub niecierpliwość! — Nie, — nieszczęśliwy nic nie przeczuwał, — nie sądził, że został oszukany. To było jasne!

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

H-U-M-O-R

Papierosy szkodzą.



— Co ty smarkaczu palisz papierosy! Czy nie wiesz, że z tego się nie rośnie!
— Proszę pana, będę teraz palił fajkę.

Nie wiedzą

Do wielkiej, luksusowej restauracji weszli dwaj żebracy. Zdjęli czapki z głów, stoją przy drzwiach i cierpliwie czekają.

Przy stoliku obok siedzi tęgi jegomość z pierścieniami na palcach. Przegląda kartę obiadową z miną znudzonego lorda. Kelner kłania mu się nisko i pyta:

— Więc co na pierwsze?

— Sam jeszcze nie wiem... — medytuje grubas.

W tej chwili jeden z żebraków, stojących przy drzwiach, trącił drugiego łokciem i powiada:

— Wiesz, jemu jest gorzej niż nam...

— Gorzej?... Dlaczego?...

— Bo my nie wiemy co będziemy jedli jutro, a on nie wie co jeść teraz.

Wątpliwość

Młodzieniec: — Więc wydziedzicza mnie mama?... Dobrze, ale niech chociaż wiem dlaczego?

Stara dama: — Bo ojciec był tak... hm... swawolny, że nie mam wcale pewności, czy naprawdę jestem twoją rodzoną matką!

Okoliczności łagodzące

— Panie, ten pies, któregoś mi pan sprzedał, kradnie jak kruk!

— Taak? Ale tylko, gdy idzie o coś do zjedzenia. Co się tyczy przedmiotów wartościowych i pieniędzy, jest bezwzględnie uczciwy!

Wynalazca

— Kto jest ten młody człowiek, który u was mieszka?

— O, to jest wielki wynalazca?

— Serjo? Cóż on takiego wynalazł!

— Każdego miesiąca nową wymówkę.

Niewiarygodna zmiana

— Ale się pan zmienił, panie Kwoczka!

— Co? Ja się nie nazywam Kwoczka!

— To i nazwisko pan sobie zmienił?

Domowy głośnik

— I cóż powiedziałeś żonie, gdy wróciłeś tak późno z biura?

— Ja nic, żona mówiła.

Zimna krew

Jonny usiadł właśnie w barze przy stoliku, gdy Fred obrócił się i zauważył:

— Pardon, usiadł pan na moim kapeluszu!

— Już pan wychodzi? — brzmiała odpowiedź.

Osobliwości Warszawy

— Panie Kohn, czy pan mi możesz powiedzieć, co jest godnego zobaczenia w Warszawie?

— Owszem, Majerowicz.

— Co znaczy: Majerowicz?

— Majerowicz jest godny zobaczenia. Ten człowiek ma w kasie prawdziwą stuzłotówkę!

Dobre samopoczucie

— Czy w pańskiej najbliższej rodzinie zrobił ktoś jakąś nadzwyczajną partję!

— Z wyjątkiem mojej żony, nikt!

Geografja

Pan Braun uszczypnął pokojówkę w policzek.

— Poco pan mnie zaczepia, przecież odpiero wczoraj powiedział pan żonie, że ona jest dla pana całym światem?

— Bo i tak jest — mówi Braun — tylko są dwa światy: stary i nowy.

Nowe mieszkania

— Podobno magistrat miasta Warszawy zamierza przeprowadzić energiczną walkę z bezdomnością?

— W jaki sposób?

— Wybuduje się więcej mostów na Wiśle, gdyż pod temi, które już są — brak miejsca.

Przecinek

Nagle wszedł hrabia Dyzio na głowie, połyskujący cylinder na nogach, błyszczące lakierki w ręku, laska ze srebrną gałką w prawem oku, monokl zaśmiał się głośno i zawołał:

— Jak się masz, stary? /

Gaża i sztuka

Dyrektor teatru zapowiada: — Gaża zostanie dopiero jutro wypłacona!

— Panie dyrektorze, dlaczego nie dzisiaj? Potrzebujemy na gwałt pieniędzy!

— Nie, nie moi drodzy! Dzisiaj gramy poważny dramat, mielibyście za wesołe miny!

Między chlebozmasłendawcami

— Czy jesteś zadowolony ze swej nowej stenotypistki?

— Powiadam ci: bóstwo cielesne i ubóstwo umysłowe!

Słuszna przyczyna.



— Pan mi podał zepsute jaja.

— To już nie nasza wina. Teraz nietylko między ludźmi, ale i między kurami panuje wielkie zepsucie i oszustwo, tak że teraz kury często zepsute jaja znoszą.

Na jedno wychodzi

— Nie mam bliskich krewnych.

— Jakto, wszyscy wymarli?

— Nie, ale się zbogacili.

Jak na giełdzie

W Warszawie na moście stoi jakiś jegomość, wpatrujący się ciekawie w fale Wisły.

Przechodzący policjant zwraca się doń:

— A co pan tu robi?...

— Nic... Przed chwilą wpadł mi do rzeki dolar...

— Dolar?... No, to przepadło!... Na co pan czeka?...

— Jakto naco?... A może jeszcze dolar skoczy wgórę?...



MASZYNY DO PISANIA małe i duże, nowe i używane — najkorzystniej z gwarancją: SKÓRA I S-KA POZNAŃ, Aleje Marcinkowskiego 23.

OGŁOSZENIA DROBNE

FUTER damskich pracownia poleca lisy, kurtki, futra. Kalksteinowa, Poznań, Ratajczaka 26.

PRZYJMĘ od zaraz posadę kasjerki na maja ku, ewent. zastępstwo Kilkoletnia praktyka, doskonałe świadectwa. Wymagania b. skromne. Zgłosz. pod „Wanda".

AGENTÓW z gotówką 30, zł. do sprzedaży obuwia, pończoch i wełny poszukuję w wszystkich miejscowościach. Wynagrodzenie stałe oraz prowizja. Bojanowski, Łąg-Pomorze.

KILIMÓW artystycznych tkalnia Poznań, Ratajczaka 26.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8 Telefon 32 Rękopisów nie zwraca się. P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.